№ 49. Warszawa, dnia 26 Listopada (8 Grudnia) 1877 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. –Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

UWAGI KOBIETY

nad dziełem D-ra Edwarda Reicha

Studya nad kobietą.

(Dalszy ciąg).

Tablica zaś pana Davis utwierdziła mię całkowicie w mojem domniemaniu, gdyż wykazała mi ona czarno na białem, że domysł mój był rzeczywistym. To też nie waham się wypowiedzieć z zupełną śmiałością, iż niekorzystne warunki w jakich przedsta wiają się w obecnej dobie narządy władz umysłowych kobiecych, nie wypływają z naturalnego porządku rzeczy, lecz że są sztucznie wytworzonem kalectwem, czyli raczej kalectwem spowodowanem przez zastój inteligentny. Nie wyrokom Stwórcy, jak chcą w nas wmówić fizyologowie, nie wyrokom Stwórcy powtarzam, Którego nie podobna mi zrozumieć inaczej, tylko jako sprawiedliwość bezwzględną, ale tyranii uprzedzeń ludzkich kobiety mają do zawdzięczenia swoje umysłowe niedołęztwo. Od kogóż jeśli nie od tychże samych ludzi, należy nam się zadosyć uczynienie za tę krzywdę wyrządzoną naszemu duchowi? Nie połowiczne jakieś ustępstwo rzucone, dla zadowolenia łatwowiernych, ale ustępstwo formalne może jedynie złemu zaradzić. Niech wszystkie gałęzie wiedzy staną się zarówno kobiecie jak i mężczyźnie przystępnemi, a przyszłe pokolenia zawyrokują: czy kobieta jest manekinem żywym, stworzonym w chwili dobrego humoru Boga, jak niosą stare podania, na zabawkę mężczyźnie, czy jak nas Chrystus naucza, równym jemu człowiekiem, w odmienną postać przyobleczonym? Wyobraźnia góruje w kobiecie, powiada Dr. R. a to tak wybitnie, że część jej mózgu ciemieniowa, uważana ogólnie za siedlisko wyobraźni, przewyższa rozrostem część czołową, przeznaczoną ściślemu rozumowaniu. I nie jestże to jeszcze jeden dowód więcej, popierający ten wniosek, że czaszkę ludzką kształtują prądy psychicznej siły?

Jeżeli było w mocy mężczyzny niedozwolić uczyć się kobiecie, to czyliż mógł on zabronić jej myśleć? Więc puściła wodzę fantazyi, tak często szkodliwej, bo nie okiełznanej logiką, i piętno tej nienormalności odcisnął jej czerep.

Czy nie ma to nam posłużyć za ostrzeżenie? Anomalia ta dziś lekka jeszcze, czyliż z biegiem czasu nie może przybrać cechy potwornej, a wtedy będzież już możebnem przywrócenie równowagi? A mężczyzna i kobieta mający jedną nierozłączną całość stanowić, zdołająż się w końcu zrozumieć? D-r R. powtarza wraz z Bucklem fakt, który tenże nazywa uderzającym, przez co podaje w wątpliwość swoje własne teorye, że wielcy ludzie najczęściej nie z wielkich ojców, lecz ze znakomitych rodzą się matek... A czy to ma być następstwem praw embryologii, co ze wszech miar zdaje mi się być prawdopodobniejszem, czy następstwem wpływów późniejszych, jak mniema Buckle, to i któż w ślad za tem zaprzeczy mi słuszności gdy powiem, że zatrzymywanie umysłowego rozwoju u ogółu kobiet, jest okradaniem społeczeństw z geniuszów.

Nie idzie zatem, pisze dalej Dr. R. „aby nie miały istnieć kobiety z wielkim, ciężkim mózgiem i z bardzo znaczną działalnością umysłową. Hipatya w Aleksandryi o której Fry. Chry. Harless mówi, że była tak wspaniałem zjawiskiem na widowni kobiecej wielkości umysłu i ducha, a wszystko co o niej mówią pisarze współcześni, każe się domyślać tak znakomitych jej badań w różnych częściach nauk przyrodniczych, zwłaszcza w astronomii, że utrata jej pism musi być uważana za szkodę bardzo wielką. Hipatya jest istnym cudem, wyjątkiem z wyjątków i niedorzecznością jest z podobnych wyjątków i to nader rzadkich, wnioskować o całej płci i chcieć na tem opierać emancypacyę kobiet. Hipatya była pięknością niezrównaną, a miała żyć z mężem swoim w małżeństwie bez zmazy: organizacye takie przypominają raczej bezpłciowość, niż płeć wyraźną.“

Niepodobieństwem jest odgadnąć jaki sens moralny D-r R. chce wyprowadzić z tej ostatniej apostrofy, którą wielu pisarzy odnosi słowo w słowo i co do geniuszów rodzaju męzkiego, twierdząc, że ludzie genialni przeznaczeni są do służenia ludzkości, nie zaś do małżeństwa, i podług Vireja, Newton miał jakoby też umrzeć niepokalanym, a której w dalszym ciągu autor nie życzący sobie pod żadnym pozorem przyzwolić na to, aby właściwość tę, cechującą geniusze i do genialnych kobiet zastosować przystało, zaprzecza wyraźnie, gdy na stronicy 309 powracając do tego, widocznie uprzywilejowanego tematu, zapytuje swego natchnienia:

„Czyby kobiety tak zwane uczone, miały istotnie pozostawać raczej niezamężnemi? Nie. Osobliwym tym naturom małżeństwo więcej zalecać niż odradzać należy, ale winny one otrzymywać mężów, którzyby się do nich pod wszelkim względem stosowali, bądź jako geniusze imponujący, bądź jako duchy służalcze. W tym ostatnim przypadku, wprawdzie zgorszenie obmierzłem będzie, ale zawsze lepiej, że taka *bas-bleu* (*) pokryje się czepcem, niż gdyby miała wałęsać się sama bez pana i przerażać tylko poczciwych filistrów.“

Wałęsać się sama bez pana! I przeceniamyż my okoliczności, nazywając *status quo* naszego obecnego położenia stanem niewolniczym?

(*) Znaczenie wyrazu *bas-bleu*, jakie mu później nadano, chwytając się byle pretekstu w celu ośmieszania uczonych kobiet, nie było pierwotnie żadną ironiczną przenośnią. Jak również i *virago* nie oznaczało początkowo u Rzymian pogardliwej lecz bezzaszczytną nazwę.

(Przyp. autorki).

Geniusz, którego naturą jest niepodległość, którego wielkości hołduje świat cały, geniusz, którego twórczość kreśli prawidła nietylko dla współczesnych ale i dla dalekich pokoleń, geniusz, którego znamieniem jest nieśmiertelność! jeżeli miał tę nierozwagę, że przybrał postać dziewicy nie męża, ma być za wyrokiem D ra R. rzuconym na pastwę bodajby brutalnej siły, byle się nie wałęsał samopas, bo skoro mężczyzna choćby w braku lepszego idyota, nie osłoni powagą swojego imienia podobnie wspaniałego zjawiska, to będzie ono przerażać poczciwych filistrów...

Poczciwość widocznie równie jak cnota, zależą od wyobrażenia. Wszak i dziki barbarzyniec zabijający ojca starego, którego żywić mu ciężko, nazywać siebie każe poczciwym synem.

Jeżeliż nawet genialnej, wyjątkowej kobiecie, nie przystoi nazwa człowieka wolnego, niezależnego, gdyż taka według zasad D ra R. żyć winna w poddaństwie, ulegać ma panu, to pocóż zaraz na stronicy 13 Studyów swoich, autor nazywa z widoczną emfazą kobiety *ludźmi płci żeńskiej*.

Czy sądzi on, że dobroduszne kobieciny co go czytać będą, potrafił tak dalece uszczęśliwić nadaniem im pompatycznego tytułu człowieczeństwa, aż w drukowanej książce, że dla tego tytułu wybaczą mu treść reszty książki, przeczącej wręcz, tej czczej wstępnej formułce?

D-r R. przystaje nawet w razie ostatecznym na to obmierzłe zgorszenie, aby panem był duch służalczy, z czego znów pokazuje się oczywiście że nie tyle mu już idzie *faute de mieux*, o zasadę, ile o ślepe wykonanie litery prawa.

D-r R. zapomniał widocznie o tem, że przywilejem cywilizacyi jest reformować przeżyte prawa.

W taki to sposób przemawia obywatel kraju, w którym mózg mężczyzny osiągnął najwyższą wagę. Hipatya jest wyjątkiem z wyjątków i to nader rzadkim, i niedorzecznością jest na takich opierać emancypacyą kobiet.“

Że rzadkie są geniusze kobiece to pewna, czy jednak genialność u mężczyzn jest rzeczą tak bardzo powszednią? Czyliż i pomiędzy mężczyznami geniusze nie są też fenomenalnemi zjawiskami, ukazującemi się tylko od czasu do czasu w odległych od siebie odstępach? A przecież w jak odmiennych warunkach kształtują się płcie obie.

Z chwilą wstępu swojego w życie mężczyzna widzi przed sobą otwarte szerokie pole działania, jego nie ścieśniają żadne względy światowe, nie krępują go przesądy, tradycya ni obyczaje. Wszechnice li tylko dla niego wzniesione, na jego skinienie uchylą mu swoich podwoi, byle zapragnął czerpać może bez miary i określenia u źródeł wszechwiedzy.

Kobieta niegdyś w trzynastym, dziś w szesnastym roku życia wydawana za mąż, kiedyż i gdzie miała się uczyć i czego? Wszak według dawnych pojęć a po części i dzisiejszych, kobietą prawidłową była kobieta naiwna... Obecnie wieluż to jeszcze jest nietylko filistrów ale i poczciwych nie filistrów o zastarzałych opiniach, którzy kobietę umiejącą cośkolwiek więcej nad normę zwyczajną, to jest więcej nad muzykę i szczebiot francuzki, wytykają palcami. Przed laty mniemanie to tak było powszechnem, że ojciec z obawy by się dziewczynie w głowie nie przewróciło, nie pozwalał córce wziąść książki do ręki. Uczoną a więc śmieszną, bo to na jedno wychodziło, któżby był zechciał pojąć za żonę? A córka niezamężna to próżna zawada, smutny ciężar przygniatający barki najprzód samego ojca, który nie wiedział co ma począć z tym fantem zbytecznym, a w razie jego śmierci natrętna spuścizna przekazana najbliższej rodzinie, której obowiązkiem było myśleć o chlebie łaskawym dla starej panny, owej istnej plagi społecznej, pasożyta rozmyślnie wytworzonego, a następnie nieludzko wyszydzanego.

A znów nie można nie przyznać, aby ośmieszanie to kobiet, nie powiem uczonych, ale mających pretensyą do uczoności, nie miało w danym czasie do pewnego stopnia racyonalnej podstawy. Kobieta u nas tylko na drodze samouctwa zdobywać sobie mogła pewien zasób wiedzy, a że do nabytku takiego nie była wcale przysbosobioną, więc pochwytane tu i owdzie wiadomości, musiały być tak bezładne, tak pomieszane, że zamiast sympatycznej postaci wytwarzały karykaturę, która wstręt obudzała. Z postępem co wszystko ulepsza i kwestya samouctwa w odmienne przyodziała się kształty. Dziś kiedy mamy tak liczne podręczniki naukowe i ogólnie wprowadzony zwyczaj tłomaczenia dzieł obcych na swojskie języki, samouctwo nietylko jest ułatwione i uprzystępnione dla wszystkich, ale nawet gorąco zalecanem bywa, przez ludzi pragnących jaknajśpieszniejszego rozkrzewienia oświaty, gdyż wedle ich sądu samouctwo umiejętnie pokierowane, do pomyślnych doprowadzić może rezultatów. Dawniej jednak bywało inaczej.

A potem, któż odgadnąć, kto obliczyć zdoła, ile to geniuszów kobiecych poszło na marne, dla braku odpowiedniego im pola popisu? Ile ich bez wieści przepadło w zaciszy domowej, przykutych do miejsca w widokach przyzwoitości, która za czasów dawniejszych nie dozwalała kobiecie wystąpić na widownię publiczną? A iluż znów nie ośmielono się nazwać po imieniu, czyniąc tym sposobem ofiarę całopalną z ducha ludzkiego, na ołtarzu wzniesionym konwenansom? Czyliż nawet w historyi nowożytnej nie znajdujemy czegoś podobnego dostatecznych przykładów?

Niech się pojawi kobieta o geniuszu wojennym, to aby nie przyznać wręcz zdolności nieodpowiednich kobiecie, nazywają ją natchnioną. Gdy się ukaże kobieta o imaginacyi płodnej w literackim zawodzie, dobrzy ludziska chcąc siako tako zrehabilitować, niewłaściwość, powiadają, że ma coś w sobie męzkiego... a skoro kobiety całemi masami w życiu powszednem przewyższają mężczyzn taktem i umiejętnością życia, wołają, że to instynkt naturalny kobietom. Na równi z pierwszem lepszem zwierzątkiem domowem, przyznają nam wspaniałomyślnie instynkt, nierozważni, a czyliż wytłomaczyli co to jest instynkt?

Zarzucają nam brak twórczości, zbywając ogólnikami przykłady które za nią świadczą, i sądzą że są niezwyciężeni. Jakże nazwać mamy wynalazek każdy, wielki czy mały, mniejsza o to, jeśli nie myślą twórczą? A wynalazki na małą skalę wszak czynią kobiety dzisiejsze, bądź w chemii, bądź w medycynie, albo w gospodarstwie, że już pomijam literaturę, więc i na wynalazki większe z kolei rzeczy przyjść może pora.

Pamiętać tylko należy, że my przechodzimy obecnie, okres cywilizacyi pierwotnej, coś nakształt peryodu kamienia lub bronzu.

Są to wszystko czynniki nader ważne, które wszakże nie bywają wcale brane pod uwagę przez mężczyzn, zarzucających na poparcie swoich uprzedzeń, niedostatek znakomitości kobiecych. Zadowoleni i uspokojeni tem, że mogą niedostatek ten przypisać organicznym własnościom mózgowym, poza niemi nie starają się głębokich, rdzennych odgrzebywać przyczyn.

W końcu opierając się na systemie powszechnym, gdzież znajdujemy narody niewolnicze, któreby darzyły ludzkość geniuszami? A mówię tu o mężczyznach wyłącznie. Przykłady czegoś podobnego cytują historye jako osobliwsze wyjątki, równie rzadkie, równie szczególne, jak i w przebiegu dziejów niewieściego świata. I nie dziw. Niewolnictwo, bez względu na formę w jakiej się przedstawia, nie rozpłomienia, nie może rozpłomieniać iskier twórczości, bo zamiast rozwijać, ono przytłumia brzemieniem jarzma narzuconego duchowi, umysłowe władze. Zkąd w indywiduach uważanych za sprzęty domowe, ma się rozbudzić polot myśli wzniosłej, kiedy wzniosłość to nieokreślona ducha swoboda, a podstawą bytu tych dzieci niedoli, jest ograniczenie i skrępowanie. Więc im niewolno śmiało i samodzielnie spoglądać w przestwór, i niewolno im iść za popędem wrodzonych skłonności, bo taka wolność to przywilej wybranych. A niech co chcą mówią i jak chcą zaprzeczają temu co powiem, jednak to pewna, że skoro dziewczynka słyszy od dzieciństwa powtarzane w około, powtarzane co chwila sobie, niewolno ci być tem lub owem, bo to nie uchodzi kobiecie... niewolno ci uczyć się tego lub owego, bo to nie potrzebne kobiecie... to musi ona nareszcie spostrzedz się koniecznie, że jest istotą *niewolną*. Hipatya jest wyjątkiem z wyjątków i niedorzecznością jest z podobnych wyjątków wnioskować o całej płci.“

Z wyjątków zapewne, ale czyliż postępujemy racyonalnie, nazywając znakomitości kobiece wyjątkami? Jakiś pierwszy lepszy amator wytwarzania teoryi, dla którego niepodobnem było do zrozumienia, aby genialność w kobietach mogła być równie prawidłowym przejawem, za jaki uważaną jest w mężczyznach, a to dla tego, że ogół wzrastający wśród idei sprzeciwiających się tego rodzaju zasadzie, nie dojrzał jeszcze i dziś tak dalece, aby potrafił wytworzyć sobie ideał kobiety o nauce gruntownej, nazwał od niechcenia kobietę genialną wyjątkowem zjawiskiem, a inni powtarzają za panią matką pacierz, nie zdając sobie sprawy z istoty rzeczy. Lecz sprobujmy rozebrać ten przedmiot rozważnie. Kto zechce być retorycznym, ten nie może nie zgodzić się wraz ze mną na to, że wyjątek jest, a przynajmniej być powinien czemś takiem, co stanowi odstępstwo od powszechnie przyjętego prawa. A czyliż uczoność była kiedykolwiek, czy jest dotychczas prawem dla kobiet? Więc z jakiejże to reguły kardynalnej kobieta uczona ma stanowić wyjątek? I czy nie należy raczej każdą podobną, uważać za przykład, za żywy, za dotykalny przykład, świadczący wymownie o tem, że uczoność nie jest ani niemożebną, ani niedostępną, ani też przeciwną naturze kobiecego umysłu?

Zamiana jednego wyrazu na drugi, z pozoru rzecz tak małej wagi, a jakaż to olbrzymia różnica w poglądzie na sam przedmiot. Tak postawiona teza, wywraca z gruntu zastarzałe pojęcia i czoło kobiety pochylające się smutnie pod klątwą nieludzkich choć ludzkich uprzedzeń, wieńczy aureolą prawdziwego uczłowieczenia.

(*d. c. n*).

Hymn do Ś-tej Cecylii.

. . . . Patronko tonów
Co Cherubinów kierujesz chórem,
Pocieszycielko setek milionów,
W wieńcu z gwiazd, w szacie z lazurów,
Spojrz na tę ziemię, rozwesel jej pieśni,
Bo coraz smutniej — łzawiej i boleśniej.

* * *

Tam u Wszech Pana wyproś uwielbiana,
Aby w harmonii ludzie z sobą żyli,
Pieśnią radosną aby Boga czcili,

Krzykiem rozpaczy, by w Niebo nie bili,
Wzywając Boży grom
Na swój czy pałac czy nędzarski dom.

* * *

Święta Cecylio — Patronko pieśni,
Coraz tu łzawiej, smutniej, boleśniej.
Zmień śpiew ponury, na hymn radości,
Wielki hymn wiary, nadziei, miłości.

Miron.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej

(Dalszy ciąg).

Rozdział V.

Śmieciarka zachwycona apetytem Franka, zaczęła mu się baczniej przypatrywać.

— Słuchaj no asan, zapytała po chwili, czem asan jesteś? Czy rzemieślnikiem?

Franek potrząsł głową.

— Myślałam że szewcem, ale to najpodlejsze rzemiosło. To może w służbie?

Franek ciągle zajęty jedzeniem znowu potrząsł głową.

— Więc czemże asan jesteś? zapytała porywczo. Przecieć nie oprawcą ani złodziejem.

— Jestem nadwiślakiem, odrzekł wreszcie Franek dogryzając świeżo wykrojonej żyły z kości.

— Nadwiślakiem? powtórzyła jakby z oburzeniem panna Katarzyna. To wszystko pędziwiatry i wielcy ladaco i asan pewno nie lepszy.

Franek coś mruknął między zębami ale niewyraźnie; zanadto był zajęty jedzeniem aby mógł zważać na paplaninę starej kobiety, która popatrzywszy na niego chwilkę kręcąc głową mówiła dalej:

— Jeżeliś asan taki ladaco jak wygłodzony, to najpewniej skończysz na szubienicy. Ale co mi tam! Ludzi sądzić nie do mnie należy, radzę tylko asanowi, abyś poszedł do służby albo do rzemiosła.

— Nie, zostanę przy Wiśle.

— Rób jak ci się podoba, ale widzę że byle czem to cię nie nakarmi, i że zjadłbyś całe cielę jeżeli nie wołu...

— Zjadłbym, przerwał Franek z westchnieniem, ale z łaski pani pożywiłem się i jakoś mi raźniej. Powlokę się teraz dalej na Pragę.

Dźwignąwszy się z ziemi z dość wielkim trudem, chciał dobrodziejkę swoją pocałować w rękę, ale zatoczył się i tak ją potrącił chwytając za ramię, że o mało nie przewrócił. Panna Katarzyna domyślając się w tym ruchu zdrożnej chętki uścisku, nagle odskoczyła i stając w obronnej postawie zawołała z wielkiem oburzeniem:

— A asan co dokazujesz?

— Chciałem pocałować w rękę...

— Obejdzie się cygańskie wesele bez marcypanów, przerwała panna Katarzyna kijkiem stukając w ziemię. Żadne usta męzkie nie dotkną się ani ręki mojej ani nawet nogi. Gdyby je pokalał cudzy pocałunek, uciętabym je siekierą, boby już nie do mnie należały, ani do niego, ale do ludzi. Rozumiesz asan? Powiadają, że ja waryatka, że mi się w głowie przekręciło, a niech gadają! Ludzie tak zatracili poczciwość, że człowieka co we wszystkiem przestrzega aby jaki brud do niego nie przylgnął, wyśmiewają, wytykają palcami i szepczą do siebie: patrz, to waryat! Taką i ja jestem waryatką i taką zostanę do śmierci. Cóż jednak asan myślisz z sobą dalej robić, bo widzę żeś roztrajkotany jak beczka z opadłemi obrączkami.

— Skrzepiłem się co prawda, odrzekł Franek oparty o szychtę, ale widzę że za Wisłę trudno mi się będzie dostać, zostanę się więc tu, wgrzebię się w śmietnik...

— Czyś asan rozum stracił, przerwała śmieciarka składając ręce. W nocy zimno, może być przymrozek albo śnieg upaść...

— To niech się dzieje wola Boża!

— Nie, nie możesz tu zostać. Gdybyś umierał tobym sprowadziła księdza, gdybyś zachorował poszłabym po doktora, a że potrzeba ci tylko posiłku i osłony przed zimnem, muszę obmyślić gdzie cię podziać.

W tej chwili pokazał się na ulicy niewidomy kaleka, prowadzony przez małego obdartego chłopca. Panna Katarzyna przyjrzawszy się mu, zmarszczyła czoło mówiąc przyciszonym głosem:

— Już idzie ten nieznośny ślepiec. Radby się żenić ze mną, ale ot to mam dla ciebie! rzekła wyciągając ręce z palcami złożonemi w figę. Muszę go jednak zaczepić, choć radabym żeby się sam ode mnie odczepił raz na zawsze. Panie Wojciechu, chodźno asan, ale nie myśl, że cię wołam dla siebie.

Niewidomy pan Wojciech był jeszcze młodym człowiekiem, lat trzydzieści kilka zaledwie mającym. Ubranie jego było nader skromne, ale nie zniszczone. Za to chłopczyna co go prowadził w dziurach i łachmanach nie miał ani jednej rzeczy zrobionej lub przerobionej wyłącznie dla siebie. Czapka z daszkiem zakrywała mu uszy i pół twarzy, że tylko koniec nosa był widzialny; kaftan spadał aż do kolan, rękawy prawie niżej a chodaki na nogach wyglądały jak łyżwy Lapończyków do podróży w zimie używane.

Pan Wojciech poznawszy po głosie znajomą sobie osobę, skręcił zaraz ku szychtom i śmiejąc się mówił wesoło:

— Otóż i szczęście kiedym spotkał pannę Katarzynę...

— Już zaczyna swoim zwyczajem, mruknęła śmieciarka. Ale ty nadwiślaku nic nie zważaj jak będzie plótł różne androny. Ja mu tu zaraz gębę zalepię, zobaczysz, a musiałam go zawołać, bo rady nam potrzeba.

— Jakże mi się panna Katarzyna miewa? pytał niewidomy i nagle zatrzymał się: zdaje mi się że tu jest ktoś jeszcze, kto to taki?

Śmieciarka zmieszała się, tak że słowa przemówić nie mogła. Teraz dopiero przyszła jej uwaga, że spotkana sam na sam z tak młodym jak Franek człowiekiem, może się narazić na podejrzenia przynoszące ujmę jej dziewiczej skromności. Biedna starowina przełykała, krztusiła się i nie mogła żadnym sposobem wydusić z siebie odpowiedzi. Niewidomy ponowił pytanie·

— Kto tu jest jeszcze?

— To ja, odezwał się Franek, wyszedłem dziś ze szpitala i panna Katarzyna poratowała mnie...

— A! ze szpitala, przerwał niewidomy z żartobliwym uśmiechem, i zaraz na schadzkę miłosną, ha, ha, ha!

— Panie Wojciechu! szepnęła śmierciarka ledwo dosłyszanym głosem, jak można tak mnie kompromitować. Zważ przecie, że to taki młody...

— Ba! dla tego panna mnie nie chcesz, żem stary...

— Fe, fe, nie bądź zazdrośnikiem.

— Trudno nim nie być, odrzekł niewidomy z jedną zawsze żartobliwością, skoro mi się panna tak przeniewierza.

— A cóż to, czyś mnie asan kupił czy co?

— Ale oświadczyłem się...

— A ja asana nie chcę?

— Albo to prawda..

— Tak, nie chcę, i darmo sobie asan mną głowy nie zaprzątaj.

— To trudno panno Katarzyno, kto czeka, to doczeka się w końcu i pannę chwycę jak swoją...

— Także mi gagatek! przerwała śmieciarka z największem oburzeniem podnosząc ramion. Gdybyś asan był inny tobym ci taki Pater noster wycięła, żebyś zapomniał o języku w gębie, ale żeś asan nieszczęśliwy....

— A kto asani powiedział, przerwał niewidomy zmieniając nagle ton mowy żartobliwy na poważny. Kto asani powiedział, że ja nieszczęśliwy?

— Widzisz, szepnęła śmieciarka do Franka, jak go zaraz opuściły androny, kiedym mu zalepiła gębę. Nazywa mnie asanią a nie panną, a to wszystko z gniewu.

— Kto asani powiedział, że ja nieszczęśliwy, powtórzył zapytanie niewidomy z większą już mocą. Kto powiedział, gadaj mi asanna?

— No, jużcić niewidomy kaleka....

— Niewidomy? roześmiał się szydersko pan Wojciech. To źle myślisz panno Katarzyno, ja byłem niewidomym kiedym miał oczy, a jak je straciłem dopiero przejrzałem i widzę to, o czem wam widomym nawet się nie śniło. Och! jakie to teraz światy krążą w mojej głowie, jakie się myśli w niej przesuwają, podnoszą i nikną. Dawniej, kiedym widział, zdawało mi się że na ziemi ciasno choć świat tak wielki, dziś bujam w wyżynach niebieskich jakby na anielskich skrzydłach i nieraz zdaje mi się że widzę Boga w całym majestacie. Rozkosz to o jakiem wam się nawet nie śniło, wam w pysze tarzającym się w kałuży ziemskiego zbytku. Przy takiej rozkoszy czyż mogę być nieszczęśliwym? O! dzięki Ci Panie, że za nędzne światło ziemskie dałeś mi światło duszy, którego piękności ludzie się nawet nie domyślają.

Niewidomy wzniósł ręce w górę i w niemym zachwycie pozostał chwilę. W oczach choć bez blasku, w całej twarzy, w szmerze niewyraźnym ust jaśniał spokój i pogoda, które postaci jego nadawało coś świętego, co ujmuje i zadziwia zarazem.

Franek patrzył na kalekę i nie mógł oczów od niego oderwać. Podobnego człowieka z tak gorącą wiarą i wielkiem uczuciem pierwszy raz spotykał w życiu. Był to widok dla niego niezwykły, zadziwiający, wywołujący wrażenie całkiem niezrozumiałe. Chłopczyna nawet uległ jego wpływowi, bo przechyliwszy w tył głowę jakby ją w zgięciu chciał przełamać, wpatrywał się w kalekę z otwartemi ustami, co przy dużym daszku od czapki, zasłaniającym mu twarz niemal całą, dosyć się zabawnie przedstawiało. (*) Panna Katarzyna niemniejsze

(*) Niewidomy pan Wojciech uznany został przez Sprawozdawców za wytwór jedynie fantazyi, za niepodobieństwo aby człowiek tak strasznem dotknięty kalectwem, mógł czuć to co w usta jego włożyłem. Przekonać że się mylą, byłoby bardzo trudno; wystąpić z nowem poręczeniem prawdy zamkniętej w całej mojej pracy, na niby się nieprzydało. Milczałem więc nie tyle bolejąc nad sobą jak nad upadkiem ludzi, już dziś nawet nie przypuszczających, aby duch mógł tak wysoko stanąć

okazywała zajęcie, a gdy niewidomy opuścił ręce i poprawiwszy ubrania chciał się puścić w dalszą drogę, śmieciarka wstrzymała go.

— Czekaj no asan panie Wojciechu. Nie na to cię przecie zawołałam, żebyś mi rozpowiadał co widzisz w swojem kalectwie...

— Domyślam się tego, przerwał niewidomy z poprzedniem ożywieniem.

— Ale zapomnij asan o swoich andronach...

— Trudno, trudno panno Katarzyno, serce nie sługa...

— Milcz asan do paraliża! wrzasnęła śmieciarka kładąc rękę na ustach mówiącego, ożywionych uśmiechem szczerej wesołości. Tu trzeba nam radzić, bo ten młody nadwiślak uświrknie jak go opuścimy.

— A cóż się jemu stało?

Rzecz cała dotycząca Franka w krótkości opowiedzianą została. Niewidomy z uwagą wysłuchawszy pokręcił głową mówiąc:

— Tu nic więcej niepotrzeba, tylko go nakarmić przyzwoicie, dać dobre łóżko z ciepłą pościelą, wypoczynek kilkodniowy i puścić w świat a da sobie już radę.

— O to też właśnie idzie panie Wojciechu, ale cóż, kiedy nie wiem jak temu zaradzić. Gdybyś pan wziął go do siebie i przytulił...

— Ja? A czyś asanna zapomniała, że nas w jednym pokoiku mieszka pięć osób, a szewc ma jeszcze terminatora. Klatka z ptakiem jużby się u nas nie zmieściła a cóż dopiero człowiek. Zaprowadź go panna do siebie.

— Do siebie! powtórzyła śmieciarka podnosząc ramion. Gdybym sama mieszkała, tobym mu kąta nie żałowała i sama poszłabym do znajomej, ale pani Adamowa kobieta bardzo sprzeczna i podejrzliwa, jakby mnie zobaczyła z młodym chłopcem, Panie odpuść! Bóg wie coby nie przypuściła. Ludzkie języki to bardzo jadowite.

— Zostanę tu pomiędzy szychtami, odezwał się Franek, niech państwo...

— Co też asan gadasz! przerwała śmieciarka. Przy głodzie i zimnie to duch w ciele jak ptak na gałęzi, byle dmuchnąć to frunie.

— Prawda panno Katarzyno, potwierdził niewidomy szukając po kieszeniach. Na nieszczęście nie mam ani grosza przy sobie, a i w domu jakoś brakuje, ale mam nóż składany choć stary i zniszczony to przecie przyjmą go na zastaw w sklepiku, a jutro go wykupię. Idź panna, przynieś co za niego...

— Ej! lichy to zastaw, mruknęła śmieciarka, a jemuby trzeba gorącego rosołu, szklankę kawy, kawał pieczeni...

— To masz asanna jeszcze chustkę od nosa, tabakierkę, tylko mi dajcie papieru do usypania tabaki, a ty chłopcze daj czapkę, mówił dalej zdejmując mu z głowy przykrycie; ciepło, to z gołą głową możesz paradować.

Chłopiec nie podzielając zapału dobroczynnego pana Wojciecha, skwiercząc i narzekając chciał własność swoją odebrać.

— Cicho dzieciaku, cicho, jak wrócimy to ci swoją podaruję.

— A kiedy ją szczury zjadły, wrzeszczał chłopak i tylko troszkę potrzewki wisi przy daszku.

— To nic nie szkodzi, będzie ci lżej na głowie.

— Ej! oddaj pan, mnie tam czapka ta nie cięży, wołał chłopiec sięgając po swoją własność.

— No, to masz moją a nie krzycz niezdaro, odrzekł niewidomy kładąc mu czapkę z własnej zdjętą głowy.

Chłopiec uśmiechnął się poprawiając okrycia.

— A jak pan Wojciech bez czapki obejdzie się? zapytał.

— Niech cię o to głowa nie boli. Jezus Chrystus kazał głodnego nakarmić, a kto to robi to obdarza samego Chrystusa.

— To wszystko niewiele przyniesie pożytku, odezwała się śmieciarka. Choćbym co na zastaw uprosiła, to na Pragę daleko i ten nadwiślak nie dowlecze się, a jak tu zostanie to uświrknie...

— Niech tam! mruknął Franek.

— A niechże Bóg broni, zawołała przestraszona śmieciarka. Jakbyś asan tu umarł, tobyś potem stał mi ciągle na oczach i straszył dniem i nocą...

— Tak, tak, panno Katarzyno, przerwał niewidomy z udaną powagą. Umierający z opuszczenia ludzkiego, przemienia się w wilkołaka, i potem co noc przychodzi do tych co go nie poratowali, zgrzyta nad nimi, wyje, ryczy, piszczy...

— Matko Bozka! wrzasnęła śmieciarka chwytając się za głowę. To radźże asan co robić, bo ja już głowę tracę.

— Zaprowadź go panna do pani Adamowej, powiedz że razem ze mną spotkaliśmy tego szpitalnika, to ona da radę.

— Ja wiem że da radę, ale widzisz pan... przyzwoitość...

— Bez ofiary nie ma uczynku panno Katarzyno, odrzekł niewidomy słysząc jak starowina nie może dobrać słów do wyrażenia swej obawy. Trzeba służyć albo Bogu albo mamonie.

— No, to zrobię jak pan radzisz, choć wiem że się baba na mnie gniewać będzie, z pewnem frasobliwem postanowieniem odezwała się śmieciarka. Ale niech się gniewa, niech wydziwia i ramion w górę podnosi, nie dbam o to!

— Tak, tak, a co to pannę ma obchodzić? Czy to panna nie pełnoletnia czy co? zapytał niewidomy z tajonym uśmiechem.

— Naturalnie, ona sobie panią a ja sobie. Odbierz więc asan te fanty, bo już bez nich muszę sobie poradzić.

— A to po co? Zdadzą się, a ja je jutro wykupię.

— To niech pan Wojciech weźmie czapkę co mi dał ze swojej głowy a moja niech zostanie, odezwał się chłopczyna.

— A takeś o nią skwierczał przed chwilą.

---

nad zlepkiem materyi zowiącej się ciałem, żeby aż był zdolny dać człowiekowi, pomimo kalectwa i ubóztwa, spokój wewnętrzny i zadowolenie, słowem szczęście upatrywane przez materyalistów w przeciwnym zupełnie kierunku. Nie zostałem jednak bez obrony, bo oto w N-rze 67 Gazety Polskiej z r. b. 1877, pomieszczony został list p. Aurelego Borzęckiego, który tu w całości przepisujemy.

Panie Redaktorze!

W numerze 55 „Gazety Polskiej“ w sprawozdaniu z odczytu p. J. K. Gregorowicza, przeczytano mi z wielkiem mojem zadziwieniem, że wprowadzony do opowiadania jego, niewidomy biedak, rozprawiający o cudnych światach, niewidzialnych dla oka ludzkiego, jest już chyba zupełnie wytworem fantazyi, a przynajmniej w rzeczywistości, musiał się zachwycać tajemniczemi cudami, jawnemi tylko dla niewidomego. Zarzut to niesłuszny: z wielką zatem nieśmiałością, czuję się, Panie Redaktorze, niejako w obowiązku oświadczyć, że w tym niewidomym poznałem siebie, i że słowa wymówione przez niego, które mi wypisane z odczytu nadesłano, są memi własnemi słowami i powtórzę je każdemu, kto raczy odwiedzić mnie w ubogiem mojem mieszkaniu w Krakowie, przy ulicy Ś-go Józefa, w klasztorze panien Bernardynek.

Pana Gregorowicza znam od bardzo dawna, w życiu mojem przechodziłem różne koleje nieszczęśliwe — gdy byłem widomym, byłem majstrem wyrobów z gliny — cegieł, dachówek, kafli, drenów, różnych ozdób ogrodowych, garnków, garnuszków i t. p. Pracowałem szczerze i poczciwie, jak mogłem i umiałem; gdy z woli Bożej zostałem niewidomym, zubożałem zupełnie i bez żadnych środków utrzymania, Bóg mnie nie opuścił, natchnął serca ludzkie współczuciem, a nadewszystko obdarzył opieką szlachetnej mojej żony, która ciężką i poczciwą pracą wystarcza na skromne utrzymanie, i tym sposobem dał mi spokój duszy tak wielki jakiego przedtem nie znałem. Wdzięczny za tę łaskę Bożą, rzeczywiście, Panie Redaktorze, powtarzam często to, co p. Gregorowicz w odczycie swoim włożył w usta niewidomego i co nieraz sam do niego mówiłem: byłem nieszczęśliwym, kiedym miał oczy, a jak je straciłem, dopiero przejrzałem i widzę to, o czem widomi zamarzyć nie mogą. Oh! jakie to światy krążą teraz w mojej głowie, jakie się w niej myśli przesuwają, podnoszą i nikną. Dawniej, kiedym widział, zdawało mi się, że na ziemi ciasno, choć świat tak wielki; dziś bujam w wyżynach niebieskich, jakby na anielskich skrzydłach unoszony i zawsze widzę Boga w całej Jego potędze i wielkości. Rozkosz to niewysłowiona, przy niej, czyż mogę być nieszczęśliwym?... O! dzięki Ci Panie, że za nędzne światło ziemskie dałeś mi światło duszy, którego piękności ludzie pojąć nie mogą, dlatego, że mają zmysł widzenia, który im zaciemnia oko duszy.

Że słowa te wywołały niedowierzanie, aby niewidomy i do tego zupełnie biedny człowiek, a niegdyś rzemieślnik, mógł być przejęty podobnemi myślami, nie dziwię się. Aby czuć to co ja czuję, trzeba tak ufać Opatrzności Boskiej, jak ja jej ufam.

Gdyby to było możebnem dla oczyszczenia p. Gregorowicza z zarzutu fantazyi i dania przekonywającego dowodu szczęścia jakie posiadam, stanąłbym na katedrze obok niego i powtórzyłbym publicznie to, co tu wypowiedziałem. Nie mogąc tego dokonać, proszę najserdeczniej Pana Redaktora o ogłoszenie tego pisma w „Gazecie Polskiej,“ co mam nadzieję że mi odmówionem nie zostanie. Kochając ludzi, radbym choć podziałem myśli moich wywdzięczyć się za ich dla siebie poczciwe serce, pamięć i współczucie. Może to nie jednego pokrzepi, a przynajmniej przekona, że i pomiędzy najbiedniejszymi z ludu, są ludzie co umieją się wznieść duchem swoim w krainy niedostępne dla wielu.

List cudzą ręką pisany, podpisuję własnoręcznie ołówkiem, gdyż użycia pióra i atramentu brak wzroku nie pozwala.

Uniżony sługa
Aureli Borzęcki.

Wymowne te słowa p. Borzęckiego, sądzę że i najbardziej uprzedzonych powinny przekonać, że w obrazowaniu ludu nie uległem fantazyi, skoro postać za najnieprawdopodobniejszą uznana, ukazała się żyjącą i wystąpiła z tak pożądaną dla mnie obroną. Ale może ktoś powiedzieć, że p. Borzęcki stanowi jakiś dziwny ekscentryczny wyjątek, że nie może służyć za typ charakteryzujący wszystkich niewidomych biedaków. Nie ma wątpliwości, że nie wszyscy z nich podnieśli się tak duchowo jak p. Borzęcki, ale nie jest on jedynym, co z innego zupełnie od nas zapatruje się stanowiska na swoje położenie. Pod tym względem mam jeden szczegół bardzo znaczący.

Kiedy część klasztoru po księżach Dominikanach oddaną została w posiadanie niewidomych utrzymujących się z własnej pracy, pisma nasze opisując uroczystość poświęcenia gmachu, wyraziły się z największem współczuciem dla przyszłych stypendystów, nie nazywając ich inaczej jak nieszczęśliwymi. Nazwa ta, jakkolwiek nieubliżająca, widocznie nie spodobała się niewidomym i tak ich podrażniła, że jeden z nich p. Plocer wystąpił w imieniu wszystkich w Kuryerze Warszawskim, oświadczając że wcale nie uważają się za nieszczęśliwych. Dziś numeru pisma w którym pomieszczoną była ta odezwa, nie mam pod ręką, ale nader łatwo odszukać go w redakcyi.

J. K. G.

— Tak, skwierczałem, odrzekł chłopiec jakby zawstydzony, ale kiedy widzę jak się państwo litujecie, to i mnie jakoś... tak...

— No, no, dobrze dzieciuchu, a teraz chodźmy bo mi się śpieszy. Śmieciarka podsunęła się ku odchodzącemu i oddała mu ofiarowane fanty, potem zwracając się ku Frankowi rzekła:

— Wstań asan i jak możesz tak się dźwignij. Mieszkanie nasze z panią Adamową niedaleko. Będzie tam krzyku i przewracania oczami ale się baba udobrucha.

— To i pójdę, odrzekł Franek dźwigając się i podpierając laską. Gdyby panna sprzedała moje buty bo nowe prawie a dała jakie chodaki choćby stare...

— A cóż asan sobie myślisz że ja handlarka albo fantownica?

— Wiem przecie...

— Nikt z mojej familii, mówiła dalej śmieciarka gniewnym tonem, nie był handlarzem i wszyscy byli utytułowani. Ja nie gorsza od nich, a jeżeli czasami chodzę z owocami to je kupuję z drzew za Wolskiemi rogatkami a to nie handlarstwo. Siostra gniewa się, tupie, drze włosy, ale na to nie zważam, bo jeżeli ona panią w bogactwie swojem, to ja równą jej w swojem ubóstwie. Tak, od nikogo nic nie potrzebuję: pani Adamowa podsunie mi nieraz jakie jadło, ale ho! ho! nie doczekanie jej żebym się go dotknęła. Szukam po śmietnikach ale nie żebrzę, zbieram gałgany i kości ale nie wyciągam ręki po jałmużnie. Gdyby ten co w mojem sercu i duszy zostałam po nim wdową, dowiedział się w niebieskiej krainie żem wyszła na żebraczkę, wyparłby się mnie a ja chcę mu ponieść z sobą mój honor nieskalany.

Franek zajęty jedynie swojem nieszczęśliwem położeniem z którego przy pomocy butów spodziewał się wydobyć, idąc podpierany pod ramię opowiadał dzieje swego obuwia, a śmieciarka kręcąc głową, czasem mruknęła coś niewyraźnie, wreszcie rzekła:

— To cała bieda, że jestem bez grosza. Mam wprawdzie u siostry dziesięć rubli na handel z owocami, ale tych mi nie da żebym umierała a cóż dopiero na pożyczkę dla nadwiślaka. Z kupą towaru co go mam w płachcie trzeba iść do składu, ale przyjmują tylko w sobotę a dziś czwartek dopiero. Pójść do lichwiarza, to niech Bóg broni, pani Adamowa ma pieniądze, bo to zabiegła baba, ale strasznie sprzeczna, i co ja tak, to ona owak, a w niczem jej nie ustąpię bo nie chcę żeby nade mną górą była. Z ludźmi nie można inaczej. Mój biedak zawsze mówił, od ludzi najlepiej we wszystkiem trzymać się w oddaleniu, bo oparzą jak pokrzywa.

Ale czekaj asan, mam stróża znajomego, bardzo poczciwy człowiek: śmietnik zawsze broni, żeby obcy w nim nie gmerał tylko ja jedynie. Znalazłam raz w nim łyżeczkę srebrną i oddałam kucharce której państwo wytrącili za nią z zasług. Poczciwa! zbiera kości dla mnie i jak zajdę raz w tydzień, to zawsze pożywi i zaopatrzy w chleb pozbierany ze stołu, ale to nie żebractwo tylko przysługa za przysługę, piękne za nadobne. Otóż jutro rano pójdę do tej kamienicy z twemi butami to może jako zaradzą, a jak powiem żeś mój krewniak, to może i butów nie wezmą i dadzą z kilka złotych.

— Oj! żeby się to tak udało, z westchnieniem wtrącił Franek.

— Udać się może uda, ale jakbyś miał mnie oszukać i prysnąć w świat razem z butami na wieczne nieoddanie...

— Nie... nie... mruknął Franek, to byłoby złodziejstwo...

— Ze mną już różnie było. Ratowałam jak mogłam i zawsze mnie oszukano, dla tego siostra tak strzeże mego grosza, ale muszę się raz pozbyć tego jarzma!

— Nie, niech pani słucha siostry, odezwał się Franek, gdybym ja miał taką przyjaciółkę...

— Hm! mruknęła Katarzyna i pokręciwszy głową dodała: poczciwy widać z ciebie chłopak. Inni zawsze buntują mnie przeciw siostrze, jedna tylko pani Adamowa co trzyma za nią i zawsze burczy kiedy narzekam.

— A któż to jest pani Adamowa?

— O! to ją przecie wszyscy znają, ma stragan na dole przy Bednarskiej ulicy. Dobra to kobieta ale strasznie dumna i zawsze mi mówi asanna. Ja też babę imością tytułuję niech wie że nie dam sobą poniewierać.

Ową panią Adamową była ta sama straganiarka u której Franek chciał chleba dostać za zastaw. Nie było jej przy kramie, tylko z izby przez małe w drzwiach okienko, wyglądała twarz jej otyła i dość niemłoda ustrojona w czepek na niebieską wstążkę pod brodą podwiązany.

— Pójdziemy przez sklep, odezwała się Katarzyna, od podwórza mieści się moja dziura, to tam odpoczniesz. Do pani Adamowej widać przyszedł brat Prosper, ptasiarz z Piwnej ulicy ze swoją siostrzenicą Zosią. Dobry to człowiek ale tetryk, jego wycacana siostrzenica skromna dziewczyna, ale zdaje się jej, że nad nią nie ma piękniejszej. Także mi lala! Panie odpuść! a to tylko wylizane czupiradło. Nie lubię ich obojga, ona ni *be* ni *me*, a pan Prosper taki powolny, że nigdy się nie rozgniewa, choć mu nieraz dobrze przypiekę. Każdy flegmus nic nie wart, ja chociaż panna a tak się nieraz rozgniewam, że aż się trzęsę. O! widzisz, już nas baba szpieguje i dziwi się że idę z młodym człowiekiem, bo kręci głową jak opętana. Nic asan na to nie zważaj i staw się hardo, bo z nią tak najlepiej.

Przybyli weszli do sklepiku, Franek zaraz usiadł na małym stołeczku; jednocześnie weszła i pani Adamowa, spojrzała podejrzliwie na Franka, potem na Katarzynę i coś mruknęła niewyraźnie.

— I czegóż imość mruczysz? zapytała Katarzyna. Czym to rarog rogaty czy co?

— Czego asan chcesz? zapytała sklepikarka Franka, nie zwracając uwagi na słowa Katarzyny.

— Spocznę chwilkę...

— Czego się imość pytasz? przerwała porywczo Katarzyna. Ot lepiej postaw przed tym biedakiem miskę z ciepłem jadłem, a dowiesz się zaraz czego chce. Chłopiec umiera z głodu, a imość się zabawiasz wypytywaniem.

— Niech asanna idzie do siebie, bo ja się pytam tego młodzieńca czego potrzebuje.

— To powiedziałam czego potrzebuje, ale imość to zawsze na przekorę chcesz robić i jak ja białe, to imość czarne, jak ja tak to imość inak.

Mówiąc to Katarzyna chwyciła się za głowę z takim zapałem, że aż przekręciła czepek na drugą prawie stronę.

— Ot to mi elegancya! zawołała pani Adamowa, czyste czupiradło. Chodźże asanna to poprawię.

— Ja nie żadna asanna, zawołała Katarzyna odpychając wyciągniętą rękę pani Adamowej, tylko prezydentówna, bo mój wuj był prezydentem w Tomaszowie.

Pan Prosper poważny staruszek, na wpół siwy w surducie granatowym, długich butach i chustce czerwonej, kraciastej, obwiązującej szyję, mruknął, chrząknął i uśmiechnął się; Katarzyna z gniewem zwróciła się do niego.

— I czegóż asan mruczysz? zapytała.

— Ale bo widzisz panno Katarzyno, odezwał się powolnym głosem pan Prosper otwierając tabakierkę, gdyby to...

— Ej! kto się z asanem dogada, przerwała Katarzyna i zwracając się do Franka mówiła dalej: chodź asan, mam swoje mieszkanie, to mi wolno niem rozporządzać.

— Nikt tego nie broni, odezwała się pani Adamowa, ale sprowadzać nieznajomego młodego mężczyznę...

— Imość! przystępując nagle Katarzyna zawołała przyciszonym głosem. Miejże baczenie! i oglądając się z przestrachem mówiła dalej z jedną zawsze tajemniczością: jakby pan Prosper usłyszał i ta jego wygładzona synogarliczka, gotowiby Bóg wie co pomyśleć. Powiem imości w sekrecie, spotkałam go przy szychtach drzewa nad Wisłą, ale był tam i pan Wojciech, ten niewidomy... to przecie... no rozumiesz imość...

— Cóż dalej? z uśmiechem odezwała się pani Adamowa.

— Omdlał z głodu... pożywiłam go czem mogłam... i uradziliśmy razem z panem Wojciechem przyprowadzić tutaj i oddać pod opiekę pani...

— Czyś asanna rozum straciła? kręcąc głową zapytała pani Adamowa. Dwóm kobietom zwalać na głowę taki ciężar, a co ludzie na to powiedzą jak się dowiedzą...

— Że między dwoma kwoczkami jest kogut co pieje, domówił pan Prosper i rozśmiał się.

— Ot widzisz asanna, już brat Prosper żarty sobie stroi.

— Co tam pan Prosper! Radby młodego udawać, a tu lata ciągną do ziemi. Wstydź się acpan takiemi furfańskiemi myślami głowę sobie zaprzątać.

— Przy pannie Katarzynie człowiek zapomina o latach, szczególniej gdy na głowie panny czepek wygląda jak gołąb co ma sfrunąć.

— Ej! nie cierpię flegmusów, targnęła się gniewnie Katarzyna i zwracając się do pani Adamowej mówiła dalej:

— Wyszedł ze szpitala po szklance mleka. Biedny sierota chciał zostać i wgrzebać się w śmiecie, a jakby umarł?

Adamowa westchnęła, spojrzała na Franka badawczo, a Katarzyna na swoją gospodynię i szarpnąwszy ją silnie za rękaw dodała:

— A jakby umarł, został upiorem i zaczął krew z imości wysysać? Hę?

— W Imię Ojca i Syna! żegnając się z przestrachem odparła Adamowa, czegóż mnie asanna tak szarpiesz? Aż cała zadygotałam tak się przelękłam.

— Jeść mu imość daj! jeść! szepnęła Katarzyna.

— No to daj mu asanna garnczek z rosołem co stoi na piecu, a w szafie jest mięsa kawałek i kromka chleba z masłem. Wszystko to dla asanny przygotowałam, ale kiedy taki wygłodzony, niechże zje i rusza sobie z Bogiem, a ja dla asanny co innego obmyślę.

Katarzyna chciała z nową wystąpić burzą, że opieki nie potrzebuje nad sobą, ale machnęła tylko ręką i zakrzątnąwszy się szybko, garnczek z rosołem podała Frankowi. Za nią pokazała się Zosia z mięsem i kromką chleba na talerzu, chłopiec choć omdlewający z głodu wlepił w nią oczy, poruszył się niespokojnie i zarumienił. Była to jedna z postaci widzianych przez niego w marzeniach podczas choroby, jednym z cherubinów anielskiemi skrzydłami unoszących się w obłokach ze spojrzeniem pełnem współczucia. Postacie te senne czy też mary jego wyobraźni, tak mu utkwiły w pamięci, że się na chwilę z niemi nie rozstawał: widział je zawsze, podziwiał i uwielbiał. Zosia do jednego

z nich najzupełniej była podobną; z wdziękiem wrodzonym kobietom, przesunęła się zgrabnie przez środek sklepiku i postawiła przed nim na ławeczce przyniesiony posiłek. Nie miała więcej nad lat siedmnaście; uroda jej nie była olśniewającą, ale takim powabem nęciła, takim blaskiem niewinności i dobroci świeciły jej oczy, że najmniej wrażliwy zatrzymywał na niej spojrzenie jak na pięknym kwiatku wśród pokrzyw i ostu błyszczącym kroplami rosy.

— Czy to we śnie czy na jawie? zapytywał sam siebie Franek. Tak, to jeden z moich aniołów, ale gdzie drugi?

— Czemu asan nie jesz? zapytała pani Adamowa. Jedz moje dziecko, jedz, gorące jadło pokrzepi cię.

Franek zabrał się do jedzenia, ukradkiem ciągle spoglądając na Zosię, tak że to nawet zwróciło uwagę pani Adamowej, Prospera i samej Katarzyny. Spojrzeli na siebie, jedna tylko Zosia nie zwróciła na to uwagi, a jeżeli Franek był pewny że ją już widział poprzednio, na twarzy Zosi nie znać było choćby najmniejszego przypomnienia tego spotkania. Milcząca, zadumana, stała w najdalszym rogu sklepiku, myśli jej widocznie błąkały się gdzieś daleko, we wspomnieniach zapewne przeszłości, smutnej a może łzawej. Franek także dumał i jakby w sennem marzeniu, widział syreny, wróżki, topielnice, widział aniołów i zaklęte królewny, zdawało mu się że zaczarowany w jakieś urocze przeniesiony został krainy. Rzeczywistość jednak była zbyt wyraźną, odganiał mary, patrzył na Zosię, na Prospera i kobiety i ciągle mówił w myśli:

— Czy ja śpię czy jestem na jawie? Czyby aniołowie z nieba na ziemię schodzili?

Wreszcie Franek skończył jedzenie, otarł usta, i kiedy powstał pragnąc podziękować pani Adamowej i ruszyć w dalszą drogę, zachwiał się i upadł na opuszczone siedzenie. Przybiegły zaraz kobiety sądząc że zemdlał prysnęły na niego wodą. Franek otworzył oczy oświadczając, że tylko wypocznie a zaraz pójdzie dalej. W chwilę jednak później, wciśnięty między dwa worki napchane mąką i krupami, usnął marząc o dwóch Cherubinach z których jednego odnalazł.

(d. c. n.)

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

do Południowych Stanów Zjednoczonych, w 1875—1876 r.

PRZEZ

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dalszy ciąg).

Udaliśmy się wcześnie na spoczynek, gdyż gospodarz wybierał się o świcie na lisy. Spałem na owem łóżku w jadalni. W nocy zbudziły mnie stąpania, hałasy, wycia psów i płacz Jakóbka, który znów dostał cięgi. Pandurki na podwórzu gdakały, drób spłoszony wrzeszczał, psy szczekały zajadle, trąbka grzmiała, a konie grzebały w murawie. Wreszcie odjechał pan Nelson na polowanie, które tu praktykują na sposób angielski, pędząc lisy biglami. W parę godzin poźniej znów mnie zbudził brzęk dziwny. Nadzorca plantacyi zwoływał robotników, dzwoniąc młotem o pług stalowy. Wstałem i ja, gdyż służy przechodzili przez pokój w największym negliżu, bez zapukania do drzwi lub ceremonii, nakształt ciemnych duchów w białych całunach. W półgodziny opuściłem ten dom bez śniadania, dowiedziawszy się, że pani nie wstanie przed dziesiątą. Ufam, że mi nie wzięto za złe moją nieceremonialną ucieczkę z tego południowego dworu. Dom ten był równie wiernym typem niewykształconej, średniej klasy południowych plantatorów, jak opisany dwór w Kentucky przedstawiał najwyższą warstwę południowej arystokracyi. Pan Nelson pochodził z ojca, który posiadał niezmierzone łany i niezliczone stado dusz czarnych, ale pod modnym surdutem i on i syn jego ukrywali nagą rubaszność i okrucieństwo typów co służyły pani Stove za model plantatora, z duszą kata, w nieśmiertelnej swojej powieści. Na szczęście, młodsze pokolenie plantatorskie zaczyna się brzydzić, nawet w Alabamie, ludźmi na wzór państwa Nelson. Kształcąc się i pracując, stara się ono okupić winy przodków i zmyć z ojczyzny swojej zakałę pastwienia się nad murzyńskiem plemieniem.

Drugą wycieczkę zasługującą na wzmiankę odbyłem celem poznania tej osobliwej warstwy południowej ludności, nazwanej „ubogimi białymi ludźmi“. Wyrazy te określają osoby naszej cery, nie oddające się rzemiosłom w miastach, nie posiadające środków na prowadzenie plantacyi. Za czasów niewolnictwa położenie ich bywało smutniejszem od murzynów; tych karmił pan, tamtym odmawiano systematycznie wszelkiego zarobku, nazywając ich „białem śmieciem“, które wypadało wypędzić z kraju nędzą, lub głodem zamorzyć, byle się pozbyć tej zakały i kamienia zdrożnego. Biały bez majątku poniżał swoje plemię w oczach niższej rasy, tak mniemali majętni biali. Pracą ręczną gardzono do tego stopnia w siołach południowych, a dziś tak tam jeszcze gardzą ludźmi wynajmującymi swój czas i pot osobom zamożnym, że ubodzy biali przenosili ostateczną nędzę nad zapłatę chlebodawcy. Dotąd żyją raczej z dnia na dzień, z plonów ogródka lub włóczęgi, niż poświęcą się stałej uprawie roli za roczną lub miesięczną zapłatę. O służbie słyszeć nie chcą. Trudno ich ganić, zamożny plantator zawsze uważa białego sługę jako wyrodka, stojącego poniżej najniższego murzyna.

Biedni biali podlegali i poczęści dotąd podlegają rozmaitym, drobiazgowym lecz dokuczliwym utrapieniom. Zamykają im drogę do wszystkiego prawie; gdzie plantatorowie rządzą, tam przewaga kapitału i możne wpływy wykluczają ich z urzędów, a nawet handlu; gdzie murzyni wyłamali się z posłuszeństwa względem kapitalistów i głosują wedle woli, tam nienawiść rasowa tamuje rozwój miejscowych białych. Murzyni wybierają swoich ludzi na urzęda i handlują tylko pomiędzy sobą; w ostatecznym razie dają się kierować tak zwanym torbiarzom, czyli przywłokom z Północy i handlują z nimi. Ale pomiędzy murzynami i białem śmieciem nie ma porozumienia, handlu, stosunków. Dzieciom murzyńskiem nawet lepiej się wiedzie niż białem, gdyż ostatnie nie mogą uczęszczać do szkółek dla czarnego ludu, skutkiem przesądu cery, zbyt ich zaś mało, aby rodzice mogli utrzymywać dla nich osobne szkoły. Plantatorowie wychowują swoje dzieci w domu, przez metrów, lub w miejskich pensyonatach, nie dbając, że białe śmiecie wzrasta bez cieniu wykształcenia. Te śmiecie wydały też obfity plon zbrodniarzy!

Stan tak rozpaczliwy wywołał reakcyę, w formie emigracyi białego śmiecia z żyznych równin, posiadanych przez plantatorów i uprawianych przez roje murzynów, w góry, bezludne za czasów niewoli, gdyż niezdolne do uprawy bawełny wedle przyjętego trybu. Na szczęście podgórze sprzyja dobrym rolnikom, a jego klimat umiarkowany pozwala białym pracować na roli. Przebywając tam bez kapitału, bez wykształcenia i bez przedsiębierczości klepią biedę, lecz usuwają się od gardzących bogaczów, od demoralizującej styczności z murzynami; tworzą nowy lud, więc ich potomstwu świta nadzieja lepszego bytu.

Góry po za Birminghamem w Alabamie obfitują podobno w skarby mineralne, pierwszy rzut oka na nie potwierdził to mniemanie w moim umyśle. Spędziwszy lata liczne w górniczych zajęciach, zgadywałem instynktowo że pod temi ceglastemi pagórkami kryją się żyły bogate, zaledwie draśnięte, bo ciemnych, leniwych tubylców cechuje nieruchliwość minerałów.

Odwiedźmy jednę z chat tubylców, nie najlepszą i nienajnędzniejszą, lecz taką, co przedstawia wiernie typ podgórskiego domu w Alabamie.

Las dziewiczy wciąż jeszcze okrywa skłony z ceglastej gliny i żwiru. Śpilkowe drzewa bujają w nim, w dowód nieurodzajności ziemi. Pagórki cisną się jeden do drugiego, zostawiając zaledwie miejsce w dolinach na małe ogródki. Spotykam taki ogródek, z chatą w środku; wyglada on nakształt plamki pośród morza boru. Wykarczowano go tak niedbale, że ohydzi majestatyczny ogród przyrody, puszczę leśną. Pnie zawadzają pługowi; jednakże rodzina mieszka w tej chacie już lat 10, więc jej nie zbywało czasu na wykarczowanie swojej ziemi. Zniszczony pług, siekiera leżąca na słońcu i graca ręczna, tworzą sumę narzędzi rolniczych tego gospodarstwa. Przełażę przez płot, gdyż nie widzę furty ani bramy. Dom składa się z kłód i szpar w równej mierze, albowiem nie zalepiono otworów pomiędzy kręglakami; mieszkańcy nie mogą narzekać na brak świeżego powietrza. Komin przy rogu chaty sklecono z patyków i gliny; nie sięga on tak wysoko, jak ostry dach chaty. Burza zwiała kilka gont z dachu, dziurę zatkano starą kołdrą. Okna nie mają szyb, drzwi zawiasów. Drzwi te przedstawiają się w formie kwadratu; nawet dzieci muszą się schylać, wchodząc do chaty. Żaden krzew, kwiat lub bluszczu gałązka nie ocienia tego ohydnego domu. Wstąpiwszy do chaty, widzę, skoro oczy zdołały rozróżnić przedmioty, kobietę siedzącą przy kominie.

— Dzień dobry, pani! rzekłem.

— Dzień dobry! odpowie, podnosząc oczy od starej odzieży, którą łatała. Pomimo rysów cokolwiek zaostrych, była to osoba urodziwa, na Południu trudniej spotkać brzydką niewiastę, niż przystojną. Liczyła około 25 lat. Ubiór mój, jak na te strony bardzo porządny, i przybory myśliwskie nie zdziwiły jej zgoła, chociaż prawdopodobnie nie widziała w życiu nic równie cennego. Pochodziło to z apatyi właściwej tutejszemu ludowi. Ubogi północny Yankes także by nie zdradził zadziwienia, lecz kusiłby się, aby dostać tanim kosztem te cenne fraszki. Ale ubogi południowiec gardzi handlem.

— Czy mógłbym kupić szklankę mleka? pytam. Polowałem i łowiłem ryby... zabłądziłem, zgłodniałem, a do Birminghamu daleko.

— Mleka?! tu nikt krów nie trzyma.

— Więc wody.

— Zajrzyj pan do kubła przy drzwiach.

Śliczne, pięcioletnie dziewczątko kryje się za matką. Zanim wstąpiłem do tego domu byłem w innym, tuż za pagórkiem i słyszałem ploteczki sąsiedzkie. Ta dziewczyna jest dzieckiem miłości... matka jej zaczęła żyć z właścicielem chaty i ogrodu dopiero od kilku miesięcy. Pochodzenie takowe nie ubliża dziecku ani matce w tej okolicy, gdyż połowa tutejszych dzieci nie zna ojców swoich. Mężowie i żony schodzą się tu i rozchodzą, nie kłopocząc księży o ślub, ani sędziów o rozwód.

— Co uprawiacie w ogrodzie? pytam, napiwszy się wody.

— Bawełnę.

— Nic więcej? żadnych jarzyn, zboża, co?

— Nic więcej. Bawełnę możemy zawsze sprzedać, lub prząść i sprzedawać nici. Innych rzeczy nie sprzedawaliśmy w tych lasach.

Tu splunęła sokiem tytuniowym w ogień z wprawą majtka, co żuł prymkę ćwierć wieku.

Nie prosiła mnie, abym usiadł, ale kto tu pyta o ceremonie! Siadam na kłodzie odpiłowanej gładko, zastępującej krzesło. Izba ma 15 stóp długości a 10 szerokości, w okienko głowy bym nie wetknął, a światło wpada przez szczeliny których pełno we wszystkich ścianach. Łoże spoczywa na drągach wetkniętych końcami w takie szpary. Na nich położono nieogładzone deski, na tych łuski kukurydzane, bez siennika albo materaca. Kilka brudnych kołder uzupełnia posłanie. Pod łóżkiem stoi skrzynia z surową bawełną, przyrząd do skubania i czyszczenia bawełny i prostaczy kołowrotek. Stół na jednej nodze z kłody wbitej w ziemię, dwie puszki blaszane z solą, wór z mąką kukurydzaną, kawał szperki w kominie, parę garnków i łyżek na stole, sztuciec i wędka nad kominem uzupełniają bogactwo tej rodziny. Bieliznę jeżeli mają co więcej oprócz rzeczy na grzbiecie, piorą w rzeczułce, na kształt pół dzikich ludzi.

Boże mój! pomyślałem, czyż nie śnię? W tej dziewiczej, bogatej Ameryce, pomiędzy ludźmi mojej cery, nie spodziewałem się spotkać takiej prostoty, tyle nędzy!

Młodej niewieście błogo z tem wszystkiem, bo śmieje się i bawi z dziewczynką bez ojca. Zwolna zyskuję jej zaufanie, za pomocą niechybnego środka chwaląc urodę dziecka. Uśmiecha się i zwierza mi swoje troski.

Mój mąż pracuje w kopalni niedalekiej. Ale ta kopalnia nie przynosi korzyści właścicielowi, więc mu źle płacą... i to nie pieniędzmi, lecz żywnością, odzieżą, i t. p. Nie zarabia dość na nasze utrzymanie.

— Z czegóż żyjecie?

— Z ogrodu.

— Jakto z pół morga ziemi?

— Rodzi on sto funtów bawełny na rok, a za nią możemy dostać 10 lub nawet 15 dolarów. Zdzieramy też na wiosnę korę dębową, dla garbarzy. Mój mąż słynie w okolicy jako myśliwy... lecz zwierzyna znika... o jelenia, a nawet o indyka bardzo trudno w naszych czasach. Bywało ich mnóstwo. Zbieramy też jagody i zanosimy je do miasta, ale to nie przynosi dużo pieniędzy, bo murzyni wprawniejsi od nas w tej rzeczy. Niemoglibyśmy narzekać gdyby nie mól bawełniany.

— A, zajadek co to niszczy bawełnę.

— Tak, to straszna plaga! Mówią o szarańczy zachodniej. Nasz mól gorszy od szarańczy. Zdarza się, że w przeciągu nocy spadnie chmura tego robactwa na ogromny łan plantatora, dojrzewający właśnie. Przed świtem zje z niego każdą główkę! Cóż dopiero, gdy ta ćma zleci na ogród biednej rodziny.

— Czy was często nawiedza?

— Mniej więcej co 4 lub 5 lat. Na równinach grasuje ona gorzej niż w górach. Całe powiaty a nawet cały stan niszczy czasem.

— Do kogo należy ten ogród?

— Do nas.

— Ja mówię o ziemi. Czy kupiliście ją, czy tylko trzymacie w dzierżawie?

Zaśmiała się.

— Któżby tu kupował albo najmował ziemię! Tej u nas nie brak. Zasiadamy na gruncie rządowym, budujemy chatę i sadzimy bawełnę. Czasem silniejsza rodzina wypędzi nas, przyznając się do ziemi na mocy papierów starej daty. Częściej mieszkamy w dolinie, póki rodzi bawełnę. Gdy ziemia wyjałowieje opuszczamy ją i przenosimy się na nowinę, do innej doliny.

Nastąpiła chwila ciszy. Nagle przerwała ją kobieta i zaczęła mnie indagować.

— Pan z miasta, może nawet z Północy? I z czego tam żyją ludzie?

— Mają pieniądze, które pożyczają na procent, albo sklepy, albo łany szerokie, albo pracują przy rzemiosłach, stale, codziennie.

— Dobrzeby było żeby mój mąż tak pracował. Ale on nigdy nie chce robić nad dwa dni w tygodniu.

— Inni u nas, ciągnąłem, nie zważając na przerwę, chowają bydło i pędzą je do miasta na sprzedaż, sprzedają mleko, masło i wełnę. I wy moglibyście to uczynić. Paszy macie aż nadto.

— A któżby tu co kupił?

— Kupią w Nowym Orleanie. Nie tak to daleko ztąd.

— Tam pewnie dużo wołów i krów zjadają.

— Bardzo dużo... najmniej sto na dzień.

— O mój Boże! Nie mamy tyle bydła w trzech gminach.

Podczas tej rozmowy udało mi przyciągnąć dziewczynkę i posadzić ją na kolanie. Dałem jej srebrnego ćwierć dolara.

— Ile to znaczy? zapytałem.

— Nikel (pięć centów) szepnęła.

Biedactwo! nie widziała nigdy większej monety, niż dziesięć groszy!

— Ej siostro (matka i córka nazywały się siostrami) to aż pięć niklów.

Ale dziecię nie chce wierzyć. W końcu pojęło różnicę pomiędzy srebrem i niklem, gdy mu pokazałem kilka monet. Bawiłem ją niemi chwilkę, a potem darowałem jej. Matka westchnęła.

— Mój mąż odbierze to, rzekła, spuszczając oczy: whisky... i umilkła.

I ja westchnąłem. Ta istota nieuczesana, ubrana tak ohydnie, o rysach zaostrzonych i przedłużonych nędzą, pożółkła od febry i południowego słońca, wstrętna prawie, mogłaby w innych warunkach życia podobać się najwybredniejszemu mężczyźnie. Nawet teraz okazywała wrodzony takt; rubaszność mowy i gruba nieświadomość nie mogły pozbawić jej oka ognia inteligencyi. Nudna ona, trudno jej wytłomaczyć rzeczy po za obrębem tych gór zaklętych i potrzeb codziennych, jednakże słyszałem, że bywa aniołem stróżem dla chorych sąsiadek. O, szlachetna iskro miłości i poświęcenia, zniesiona z niebios przez Prometeusza, chociażby dla społeczeństw niewolniczych, dla nędzy tych gór! witamy cię tu nawet w chacie białego śmiecia!

I wiedzcie, że gdybym w swojej torbie myśliwskiej niósł milion, byłby on równie bezpieczny w tej dolinie odludnej, tej chacie nagiej, śród tej pary żyjącej na wiarę, jak w banku, pod siedmiu kłódkami. Nieuczciwość tych biedaków nie sięga po nad kurę bogatego plantatora lub gracę niepilnowaną. I tu, jak wszędzie, złe i dobre miesza się w charakterze ludzkim, i tu, jak wszędzie *dobre przeważa!* Lecz jak smutnie toczą się życia tych ludzi!.. nigdy nieoświetlone księgą, zamroczone, nudną rutyną trosk drobiazgowych, bez nadziei i bez żądzy lepszej przyszłości, a nawet bez słodyczy wiary lub chociażby zabobonów, albowiem lud ten podziela chińską apatyę dla rzeczy nadzmysłowych. Misyonarze darmo pukają do niego. Kościołek zbudowany tam za górą, kosztem pewnego północnego stowarzyszenia religijnego, zapadł się skutkiem opuszczenia. Biblii rozdawanych bezpłatnie nikt nie czyta. Jednakże wierzę, że gdyby do dzieciny którą piastuję na kolanie, zachwycony jej szczebiotem naiwnym i urodą, przemówił nie kapłan surowy, z nosową wymową i wykrochmalonym kołnierzem, lecz ktoś, co umie patrzeć w serce, głos jego zbudziłby ton rzewny w jej duszyczce, rzucił tam siew szlachetnego plonu, a umysł tej istoty możnaby rozwinąć w cud piękniejszy, niż przedstawi w wieku dziewiczym jej urodziwe ciałko.

(d. c. n.)

Literatura zagraniczna.

ZIEMIE NIEBA.

Astronomiczny, fizyczny, klimatologiczny opis planet wraz z ziemią krążących około słońca, oraz przypuszczalny stan życia na ich powierzchni.

Kamila Flammarion.

Streszczone przez

Joannę Belejowską.

VIII.

Jowisz.

(Dokończenie).

„Z tego cośmy powiedzieli wyżej, mówi Flammarion, trzeba wyprowadzić wniosek przeciwny naszemu przekonaniu o zamieszkalności planet, gdyż na Jowiszu zdaje się panować jeszcze tak wielkie gorąco, iż *obecnie* nie mogłyby tam istnieć organizmy odpowiednie tym jakie znamy — lecz cóż znaczy czas i godzina w jakiej Jowisz zostanie zaludnionym? Zegar niebieski jest wieczny, a nieubłagana jego skazówka, powolnie oznaczająca losy i przeznaczenie nigdy nie zatrzyma się w biegu. My mówimy *dziś* lub *jutro*, dla Przyrody zawsze jest *dziś*; słabi śmiertelnicy, my odnosimy wszystko do marnych naszych miar i wyrachowań. Ja np. urodziłem się w 1842 r. i zapewnie przed upływem tego stulecia świat ten opuszczę, otóż dla mnie wszystko co spełniło się w Europie za czasów Ludwika XIV, Henryka IV, Karlomana, Merowingów, Rzymian, zdaje się tonąć w nadzwyczaj odległej przeszłości — a gdy dusza moja drga pod wrażeniem wielkich postępów jakich obecnie dosięgły nauki, i widzi jak jednym pochodem dążą do światła: telegrafy, para, areostatyka, fotografowanie słońca i gwiazd, chemiczna analiza gwiazd, wymierzanie nieba i podbój nieskończoności!... niejednokrotnie żal serce mi ściska iż urodziłem się zawcześnie, że nie przyszedłem na świat dopiero w wieku przyszłym, który będzie tak już bogatym w cudowne odkrycia i wynalazki!... Ale Ziemia obraca się nieustannie, starzejemy się wszyscy, pokolenia następują jedne po drugich, spychają się, obalają, fala wznosi się i wznosi a potem opada: na powierzchni naszej obracającej się kuli, co sekunda jedno dziecię się rodzi i co sekunda jedna dusza zrzuca ziemską powłokę i wraca do życia niebieskiego, i dla każdego z nas jutro może nie przyjść nigdy. Ale przy końcu życia minione lata już się nie wydają tak długie, i jak drzewa rozsadzone w alei które perspektywa ścieśnia i łączy, łączą się one i jednoczą w sobie i z sobą. Dla przyrody przeszłość nie różni się od przyszłości, wydarzenia mają zawsze jedną wartość względną, dzień ziemski jaki upłynął za czasów Romulusa lub Heroda równa się obecnemu, a nie dość na tem, dzień ten trwa zawsze, dzięki kolejnemu przenoszeniu się światła i zawsze jest widzialnym z pewnej przestrzeni odległości. Żadnej gwiazdy nie widzi-

my w jej stanie obecnym, ponieważ pochodzące od niej światło nie dochodzi do nas natychmiastowo, dla tego iż potrzebuje pewnego przeciągu czasu, aby przebiedz oddzielającą ją od nas przestrzeń. Światło słoneczne dochodzi do nas w ośm minut, dźwięki słyszymy także nie w chwili ich powstania, ale w pewien czas potem, czas tem dłuższy im dalej od nas miała miejsce wywołująca je przyczyna. Ponieważ planeta Neptun jest trzydzieści razy więcej niż Słońce oddalony od nas, więc obserwując nie widzimy go takim, jakim jest w chwili naszych dostrzegań, ale takim jakim był w chwili gdy wyszła fotografia świetlna dochodząca do nas, to jest jakim był przed czterema godzinami — zatem to coby się tam działo podczas obserwacyi, możemy widzieć dopiero w cztery godzin później. Przestrzeń oddzielająca nas od gwiazd, jest tak bezmierna, że płomień świetlny potrzebuje całych lat do jej przebycia, tak więc jedne gwiazdy ukazują się nam dziś takiemi jak były przed dziesięciu, inne jak przed pięćdziesięciu, a nawet przed stu i przed tysiącem lat. Tedy, oddalając się od Ziemi na odległość z jakiej światło odbijane od naszej planety dochodzi dopiero w godzinę, poznajemy co na niej zaszło przed godziną; jeśli zaś znajdujemy się w przestrzeni z której światło dochodzi po upływie roku, lub dziesięciu, pięćdziesięciu, stu, tysiąca lat, i t. d. widzimy co miało miejsce przed takimże przeciągiem czasu.

Tak więc nie widzimy Wszechświata takim jak jest lub jakim był jednocześnie w jakiejś epoce, ale widzimy go w *jednym czasie* takim jak różne jego części były w różnych epokach. Nasz układ planetarny widzimy takim jakim jest w tym roku, układ Syryusza takim jakim był przed dwudziestu dwu laty; gwiazdę północną jak była przed pięćdziesięciu, Rigel jak przed tysiącem, mgławicę jak przed 100,000 a inne jeszcze jak przed milionem lat. Skutkiem odległości dzielących nas od gwiazd, promienie świetlne, jakie odbieramy od nich jednocześnie, wyszły w różnych czasach, i nie ukazują nam jednoczesnego stanu różnych części kreacyi, ale ich stan kolejny który przypadkowo widzimy jednocześnie. W innych punktach przestrzeni inne ukazują się epoki, w nieskończoności przestrzeni wszystko co minęło jest jeszcze obecnem i martwe nawet gwiazdy jeszcze błyszczą.

Nie mówmy więc o wczoraj ani o jutrze, dla naszych następców na widowni ziemskiego świata, wiek XIX, obecny dla nas, zatonie w nocy przeszłości jak XVIII, jak XVII, jak wieki średnie i starożytne; nasze życie obecne jest zaledwie lekką zmarszczką na powierzchni fali, która także zatonie w oceanie wieków. Czy Jowisz jest zamieszkany obecnie, czy nim był lub będzie jutro, cóż to znaczy w obec wielkiej, wiekuistej filozofii Przyrody? Życie jest celem jej formacyi zarówno jak było celem formacyi Ziemi, to rzecz główna, chwila czy godzina nic tu nie znaczą.

Niewątpliwie planeta Jowisz mógłby być zamieszkany obecnie przez istoty całkiem od nas różne, żyjące może życiem nadpowietrznem w wysokich strefach swej atmosfery, po nad mgłami i parami niższych pokładów, żywiące się samym płynem powietrznym, spoczywające wśród wichrów jak orzeł podczas burzy i utrzymujące się zawsze na wyżynach Jowiszowego nieba, a jakkolwiek anty-ziemskie, byłoby to przecież urocze miejsce pobytu. Lecz jeśli nawet nie chcemy oddalać się zbytecznie od naszych ziemskich pojęć o życiu, możemy czekać aż ta planeta ostygnie jak nasza i mieć będzie atmosferę oczyszczoną, dającą porównać się z ziemską. A jakiż świat nadawałby się lepiej na siedlisko wyższego życia! Jowisz jest największym, najwspanialszym ze światów rodziny słonecznej, przewyższa wszystkie inne masą i powierzchnią, ma aż czterech satelitów i króluje jak władzca w pośród dróg planetarnych. Jakże świat ten cudowne posiada warunki szczęścia i rozwoju życia inteligencyi!

„Zastanówmy się chwilkę nad Jowiszem jako miejscem zamieszkania, bez względu czy to było przed nami, jednocześnie lub po naszej śmierci, i mówmy w czasie teraźniejszym, ponieważ Natura zna tylko teraźniejszość.

Najpierw mieszkańcy Jowisza muszą być cięższi od nas, gdyż siła przyciągania jest tam dwa razy mocniejsza, jak na Ziemi. Ciała spadają tam w pierwszej sekundzie 12 metrów (a nie 4, 90); jeden kilogram waży tam dwa i pół, a człowiek ważący tu 70, ważyłby tam 174 kilogr. Gęstość substancyi z jakich składają się tam organizmy jest bardzo słaba, a znowu atmosfera bardzo gęsta, z czego wynika że rodzaje żywotne zoologii Jowiszowej, nie mogą być w niczem podobne do naszych.

Ziemia widziana z Jowisza jest migoczącym świetlanym punktem znajdującym się w sąsiedztwie Słońca, od którego nigdy nie oddala się więcej nad 12°; tylko rano i wieczór może być widzialną nieco mniej niż dla nas Merkury, gołem okiem dostrzedz ją bardzo trudno, a przez narzędzia optyczne przedstawia się jak księżyc w kwadrze.

Jeśli astronomowie Jowiszowi uważnie obserwują Słońce, najłatwiej im dostrzedz naszą planetę gdy przechodzi przed Słońcem; Ziemia przedstawia im się wtedy *jak mały punkt czarny.* Co do konstelacyi, widok nieba w nocy przedstawia się tam tak samo jak z Ziemi, 195 milionów mil dzielących nas od Jowisza, *nic* nie zmieniają w perspesktywach niebieskich. We dnie zaś widok nieba jest tam zupełnie odmienny od przedstawiającego się nam z Ziemi, nietylko dla tego że atmosfera jest tam odmiennej barwy i składu, ale także z powodu że Słońce jest tam w średnicy 5 razy mniejsze niż my je widzimy, a 27 razy mniejszą przedstawia powierzchnię i odbywa daleko prędzej pozorny swój bieg dzienny.

Jowisz posiada czterech satelitów: Jo, Europę, Ganimedesa i Kalisto. Czy światy te są zamieszkane? Dotychczas przyrównywano je do Księżyca który *zdaje się* nie jest zamieszkany, utrzymywano że równie jak on są martwe, puste, niezmienne, pozbawione powietrza i wody, unoszące się w przestrzeni jak szkielety śpiące snem ostatecznym. Ale od lat dziesięciu, mówi Flammarion, niezmordowanie obserwując tych satelitów przekonałem się, że nie są niezmienne jak nasz Ksieżyc, że podlegają znacznym nawet zmianom, doprowadzającym do wniosku że są otoczone atmosferą i często bywają zasłonięte chmurami. Nic więc nie upoważnia nas utrzymywać że nie są zamieszkane, a niepodobna nam pojąć aby istnienie gwiazd miało mieć inny cel jak przyjmować i dawać życie. *Życie* oto wielki cel, oto jedyne przeznaczenie kreacyi; niebyt życia jest dla nas synonimem śmierci lub nicości. Logika nie dozwala nam wierzyć, że miliony słońc jaśniejących w nieskończoności żadnego nie mają zadania, że niczego nie oświetlają, nie ogrzewają i niczem nie rządzą; w przeciwnym zaś razie celem ich może być tylko życie, jakiekolwiek bądź, poczynając od najmarniejszego źdźbła trawy aż do umysłów najwznioślejszych, najuczeńszych i najpotężniejszych!

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 24 Ноября (16 Декабря) 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

O UBIORACH.

(Dokończenie).

Inne ubranie wizytowe z kaszmiru ciemno-zielonego formą princesse miało tylko przody odcinane na długość polonezy; boki sukni wysoko naszyte plisowanemi falbaneczkami i frendzlą, ozdobione po nad tem kieszeniami z kokardami; dół zakończała falbanka plisowana.

Kołnierz z tyłu prosto ścięty marynarski, z przodu podłużnie wywinięty i z boku zakończony wachlarzem z falbanki i kokardą. Oprócz falbanek i frendzli przyozdobienie stanowiła szeroka plisa naszywana perełkami clair de lune.

Pokazywała nam także p. Thonnesowa rozmaite szaliki jedwabne na szyję, do najmodniejszych zaliczają się naśladujące marabou.

Czytelniczkom które nie zaopatrzyły się jeszcze w kapelusze zimowe i nie chcą przeznaczyć na nie ceny zbyt wysokiej polecamy pracownię p. Kuhnke, można tam bowiem dla młodych osób wybrać kapelusik aksamitny przybrany futrem, piórkiem fantazyjnem lub materyą w cenie od 6 rs. Pokazywano nam mniej więcej w tej cenie i różne inne zgrabne kapelusiki.

Z kapeluszy po wyższej cenie odznaczały się: czarny aksamitny od spodu podgarnirowany pukielkami z aksamitki z brzegiem atłasowym gris perle; z wierzchu główki dana suta kokarda z czarnego i gris perle aksamitu, z tyłu upięcie z pukli zachodzących jedne na drugie, ułożonych z niezbyt szerokiej wstążki atłasowej czarnej przytrzymane od góry klamrą lawową i dwa długie końce atłasowe przewiązane w kokardę.

Kapelusz aksamitny z wysoką główką odsłoniętą z jednego boku miał z lewej strony wielką kokardę z bladoniebieskiego aksamitu, przepiętą w środku gałązką czarnych kwiatów z dżetem, podszytą czarną koronką. Końce czarne.

Inny fason zdobny szalikiem czarnym pluszowym przerzuconym w koło główki a z tyłu podpiętym w pukiel i koniec wysuwający się z pod rondka. Z lewej strony końca wysuwało się parę małych ponsowych pukielków, z wierzchu główki pióro czarne aksamitne.

Opiszemy jeszcze kilka sukien wykończonych w tymże magazynie, odpowiednich do strojnego wizytowego ubrania.

Dla młodej osoby suknia jedwabna formą princesse, miała z tyłu tren złożony w trzy kontrafałdy, środkiem trenu przerzucona fantazya złożona w poprzeczne fałdy z boków przytwierdzona kokardami. Z przodu dwie draperye z plisowanemi wolancikami.

Druga suknia czarna kaszmirowa zdobna materyą faille, z dwoma draperyami związanemi z tyłu w fantazyjny węzeł. Dwa staniki: jeden wysoki z kamizeleczką jedwabną, wysuniętą z pod kwadratowego wykroju przodów, układaną w drobne fałdeczki, środkiem pleców naszycie z materyi; drugi stanik wycięty suto przybrany koronką białą.

Strojnawizytowa toaleta dla mężatki składała się z sukni z czarnej materyi faille i aksamitu. Spódnica miała tren złożony w trzy kontrafałdy, boki zaś były aksamitne stopniowo kliniasto ścięte w górze; przód u dołu zdobny szerokiem drobniutkiem plisowaniem przytrzymanem plisą aksamitną — powyżej trzy płaskie poprzeczne fałdy przechodziły nakształt draperyi przyciśniętej z boków prostemi kieszeniami aksamitnemi. Od spodu sukni falbana biała muślinowa oszyta walansjenką. Stanik długi kirasowy z aksamitnemi wykładami á la Louis XV brzegiem baskiny plisa aksamitna, z boków i z tyłu kokardy.

Wieczorowa suknia z materyi crême i granatowej miała wierzchem trzech kontrafałd w jakie tren był złożony, naszyte trzy szerokie pasy granatowe; na przednim brycie upięcie z draperyi; stanik z wykładami granatowemi i takiemże ubraniem na plecach. Przyozdobienie składały kokardy ze wstążki i koronka crême i granatowa.

Kończąc dzisiejsze sprawozdanie zawiadamiamy nasze czytelniczki iż pracownia wyrobów pończoszniczych, haftów i szycia bielizny p. A. Korsaka przeniesioną została na Krakowskie-Przedmieście do domu dawniej Grodzickiego; roboty tamże wykończone odznaczają się starannością odrobienia i nader przystępną ceną. Cen haftów nie podobna oznaczyć dokładnie, zależą one od materyału i deseniu; znaczenie bielizny zaczyna się od 5 kop., piękne duże monogramy w dwóch kolorach z koroną na chustki do nosa po 30 kop. Za uszycie koszuli damskiej od 30, męzkiej od 50 kop. i wyżej stosownie do wykończenia. Pończochy damskie od 5 rs. za tuzin, skarpetki od 4 rs.; koszulki wełniane po 1 rs. 50 kop.; chustki duże wełniane od 2 rs.

Opis do N. 49.

N. 1. Ubranie strojne wizytowe Krój podług ryc. 20 w N. 27 Tygodnika.

Suknia formą princesse z ciężkiej materyi koloru ciemno-granatowego, może być zupełnie gładka albo przystrojona draperyą z tej samej materyi i podszyta od spodu plisowaną, muślinową falbanką. Stanik ozdobiony bretelkami z czarnej koronki i plis aksamitnych, naszytych perełkami koloru clair de lune. Wązkie rękawy z mankietami oszytemi w górze koronką, a przy szwie zwierzchnim otwartemi, podszyte szerokiem plisowaniem z crêpe-lisse.



N. 1. Ubranie wizytowe. N. 2. Ubranie balowe.

N. 2. Ubranie balowe.

Blado-niebieska tarlatanowa suknia, na białem tiulowem podwleczeniu, jest suto przybrana kwiatami i plisami z atłasu. Spódnica z przodu 107, z tyłu 164 cent. długa, u dołu 334 cent. szeroka, z przodu w poprzeczne fałdki ułożona, u dołu ozdobiona garnirunkiem, mającym z przodu 30, z tyłu 60 cent. szerokości, którego plisowane falbanki, (zakończone zaprasowanym, 1 1/2 cent. szerokim obrąbkiem), są 9 cent. szerokie, a suta riusza 11 cent.

Proste, tylne bryty spódnicy, spięte nad trenem bukietem z kwiatów, zdobią plisy atłasowe 4 cent. szerokie, podszyte tarlatanem. Stanik wycięty bluzkowy, z krótkiemi bufowanemi rękawkami, oszyty przy wykroju plisą 3 cent. szeroką i koronkową lub iluzyową na wstążeczkę przyciągniętą falbanką. Model przybrany był polnemi różami i niezapominajkami.

N. 4—6. Narożniki do kołnierzyków.

Obadwa narożniki przeznaczone są do dużych wykładanych kołnierzyków, jakie podaliśmy na ryc. 27—28 w N. 45 i jakie podamy na ryc. 7—8 w N. 50, które kraje się prosto z cienkiego podwójnego płótna, zdobi haftem, kratkami lub stębnówką, albo zeszywa ze wstawek i pasków płótna.

N. 4—5. Narożnik z haftem supełkowym.

Każden desenik do haftu krzyżykowego, służy zarazem do haftu supełkowego. W prostym dziurkowanym szlaczku po brzegach, deseniu nie wyciąga się ani przecina nitek na dziurki, tylko rozsuwa się igłą, odzierguje na dwie strony w sposób wskazany na próbce N. 5, przyciągając mocno nitkę roboczą. Brzeg kołnierzyka oszyty jest tasiemeczką koronkową z ażurowemi brzegami, obrobioną ząbkami szydełkowemi, na które daje się ciągle na przemian 3 słupki podwójne złączone w górze 1-ną pentelką 5 o. pow., 3 poprzeczne sł. podwójne, złączone jedną pentelką i brane w pierwsze z 5-ciu o. powietrznych.

N. 6. Narożnik do kołnierzyka. Ścieg przewłóczony; wykonanie ściegu wskazaliśmy w N. 4 Tygodnika na ryc. 9.

Szlaczek przy narożniku ryc. 6, robi się na oddzielnym pasku płótna, bawełną prawdziwą turecką w dwóch kolorach i przystębnowywa do narożnika. Koronka niciana do oszycia, wywiedziona jest także i ozdobiona muszkami kolorowemi.

N. 7. Postument do butelek. Mozajka z szyszek i nasion na materyi lub suknie.

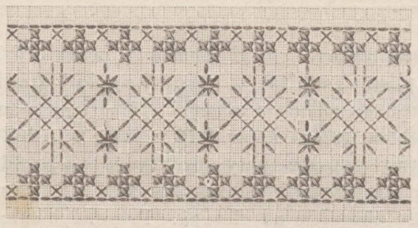
Postument z czarnej lakierowanej trzciny, ozdobiony jest nasionami leśnemi, w sposób nasladujący robotę snycerską. Każden koszyczek postumentu składa się z ośmiu owalnych ścianek u dołu zaokrąglonych, w górze szpiczasto albo w ząb zakończonych, które najpierw przykrawa się z cienkiej tektury, oszywa z brzegu wstążeczką zieloną $1^1/_2$ cent. szeroką, w górze i z boków nadmarszczoną, a u dołu w kontrafałdy ułożoną. Z wierzchu tekturę pokrywa sukno, reps wełniany, lub atłas zielony, z brzegu w ząbki wycięty i gumą do tektury przyklejony w ten sposób, ażeby ząbki na wstążeczkę zachodziły. Każdą



kwaterkę zdobi bukiet z szyszek olszowych, świerkowych i sosnowych, żołędzi lub innych nasion leśnych, pięknie szczoteczką oczyszczonych i do drucików owiniętych bibułką przymocowanych. Drobne szyszki umieszcza się w całości, duże rozdziela na pojedyńcze listki, z których następnie układa się kwiatki. Wąsy i gałązki są z mchu. Wykończone bukieciki pociąga się lakie-

N. 4. Narożnik do kołnierzyka z haftem supełkowym. Patrz ryc. 5.

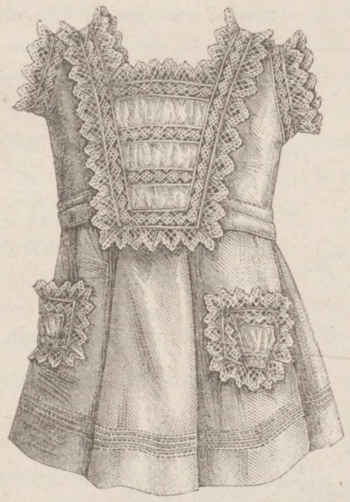
rem, a tekturę od spodu okleja ciemnym morowym papierem. Kokardy z wstążki atłasowej 2½ cent. szerokiej i sznur zielony jedwabny z kwastami, zdobią rękojeść postumentu.



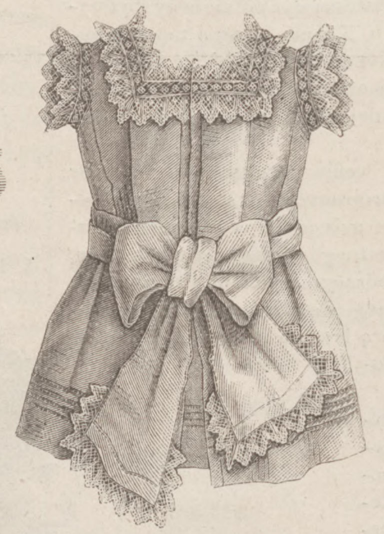
N. 3. Szlaczek wyszyty jedwabiem w dwóch kolorach.



N. 7. Postument do butelek.



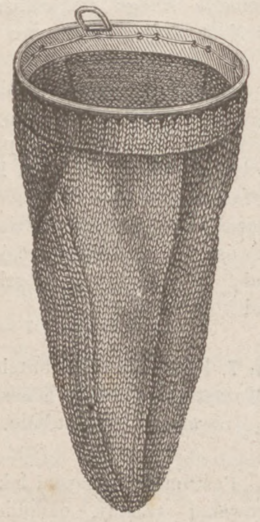
N. 8. Fartuszek bluzkowy dla dziewczynki. Patrz ryc. 9.



N. 9. Fartuszek bluzkowy. Patrz ryc. 8.

N. 8—9. Fartuszek bluzkowy dla małej dziewczynki.

Fartuszek mający 50 cent. długości, składa się z dwóch brytów 75 cent. szerokich, z boków zeszytych, z tyłu otwartych, z przodu w głęboką podwójną, z tyłu w dwie kontrafałdy założonych; u dołu zakończonych obrębem 4 cent. szerokim i 3-ma wązkiemi zakładkami, na które dodaje się materyału. Przy wykroju szyi dodane ramiączka 4 cent. szerokie, z boków podcina się pachę. Model fartuszka z białego batystu, ozdobiony był napierśnikiem

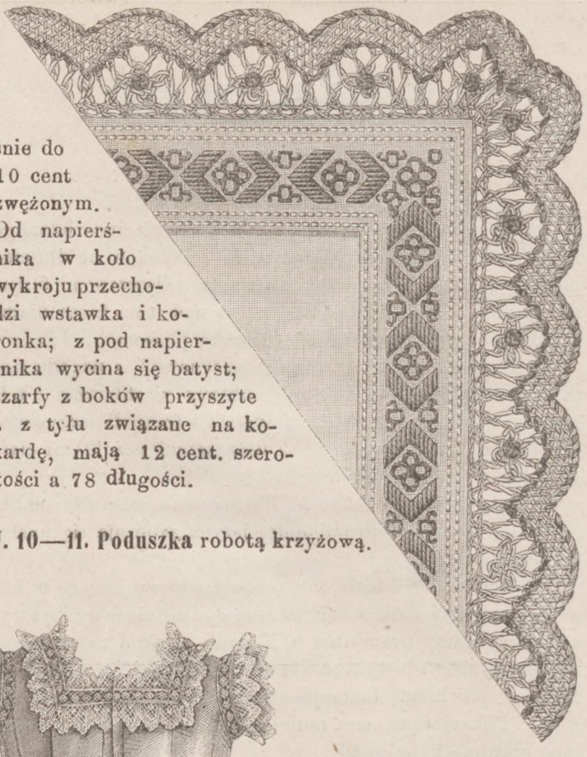


N. 12. Woreczek do kawy.



N. 5. Wykonanie szlaczku brzegiem haftu.

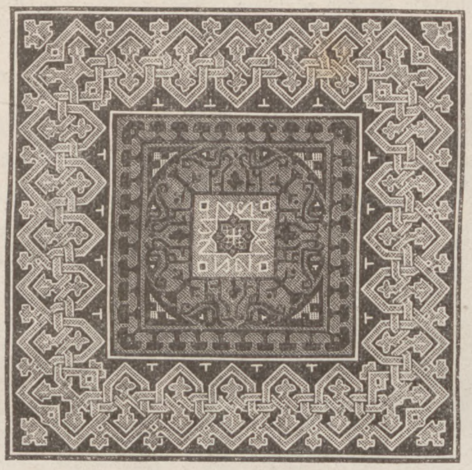
aż do wcięcia w pasie dochodzącym, złożonym z bufek i wstawek koronkowych, w górze zajmującym, całą szerokość wykroju, do dołu sko-



śnie do 10 cent zwężonym. Od napierśnika w koło wykroju przechodzi wstawka i koronka; z pod napierśnika wycina się batyst; szarfy z boków przyszyte a z tyłu związane na kokardę, mają 12 cent. szerokości a 78 długości.

N. 10—11. Poduszka robotą krzyżową.

N. 6. Narożnik do kołnierzyka.



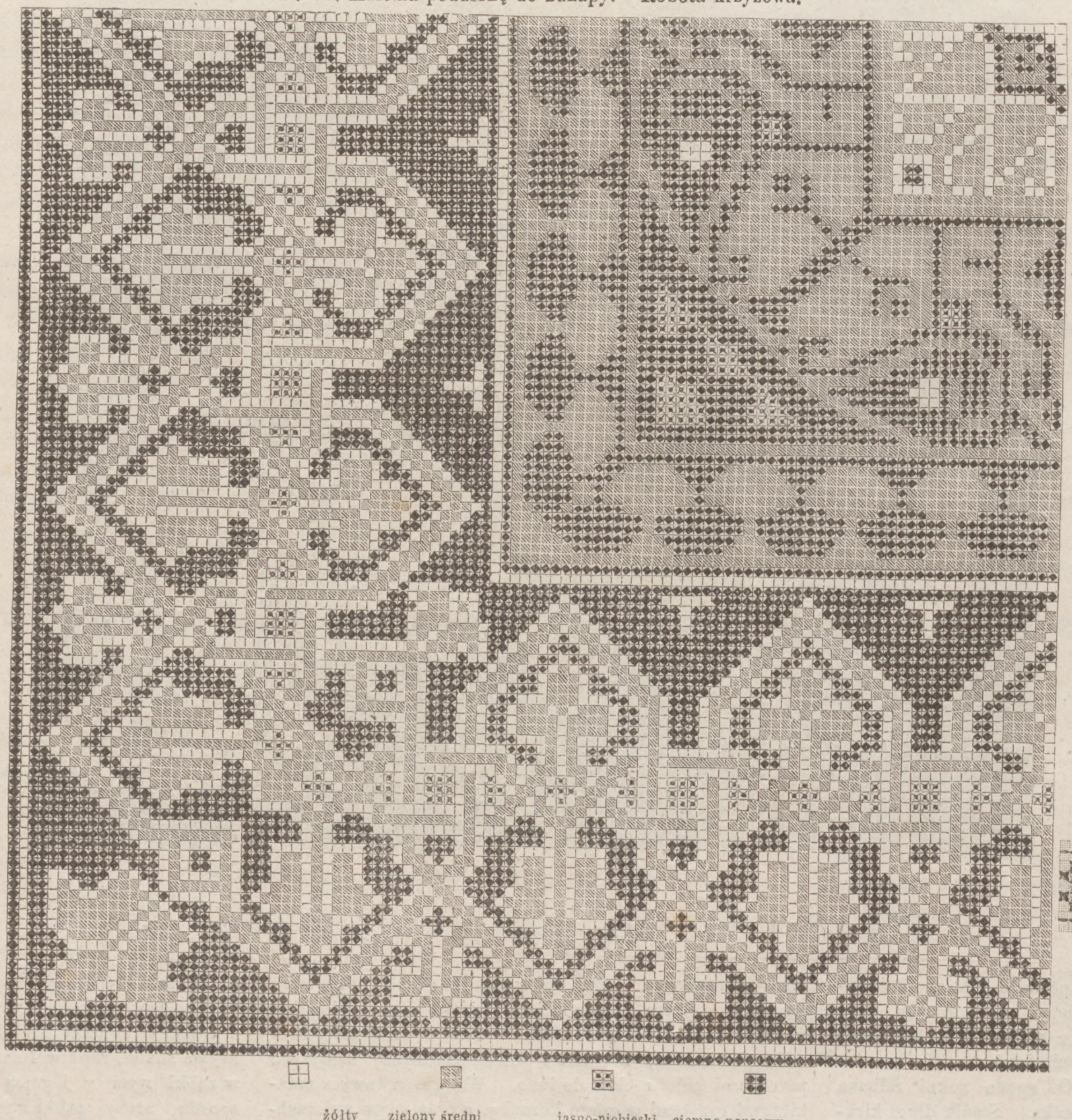
N. 10. Haft na poduszkę do kanapy. Robota krzyżowa.

Ryc. 11 przedstawia czwartą część deseniu na poduszkę, której piękność zależy od umiejętnego doboru kolorów i odcieni które powinny łączyć się w harmonijną całość.

N. 12. Woreczek do przelewania kawy. Robi się z białej bawełny w koło jak pończocha, zaczynając od dóry a gubiąc stopniowo do dołu.

N. 13. Podwójny woreczek na sprawunki kuchenne.

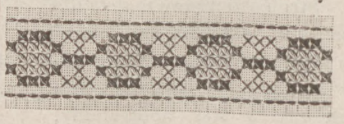
Worek podwójny robi się z cienkiego szpagatu na wałeczku drewnianym, mającym ¾—1 cent. obwodu, zaczynając jak na sakiewkę od zwężonego końca na o. 3, a następnie obrabiając w koło przybierać 1 o. na początku i w końcu obrobienia aż do ocz. 55 potem obrobić równo razy 30, a dalej na otwór razy 8 tam i napowrót jak w sakiewce. Dalej na drugą połowę gubić znów



N. 11. Deseń na robotę krzyżową.



N. 13. Woreczek siatkowy



N. 14. Szlaczek wyszyty krzyżykami.

w koło, gubiąc w ten sposób jak się przybierało do o. 3; nakoniec otwór obrabia się ząbkami szydełkowemi włóczką berlińską zieloną lub pon-

sową, i nawłóczy sznurkiem włóczkowym z kwastami. W obydwóch końcach dla mocy daje się oprawę ze skóry amerykańskiej, której dwa odpowiedniej wielkości koła wycina się w zęby, przydzierguje kordonkiem do woreczków i zakończa kwastem włóczkowym.

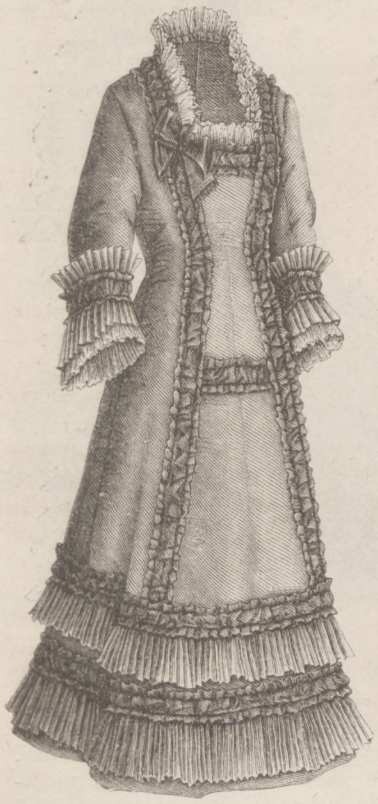


N. 15. Ząbki brzeżne do ryc. 16.



N. 16. Kołderka haftowana ze szlakiem szydełkowym. Patrz ryc. 15 i 17.

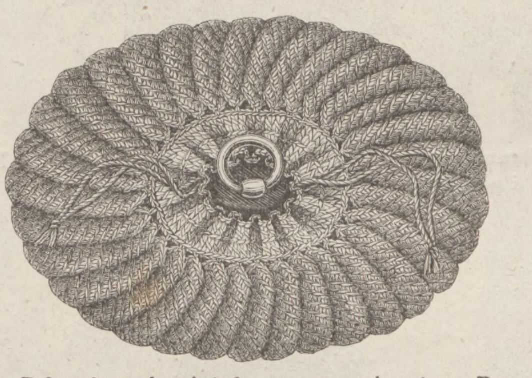
N. 15—17. Kołderka do kolebki albo wózka dziecinnego.



N. 20. Suknia princesse dla panienki lat 13—15. Patrz ryc. 21.

Tło haftowane szlak szydełkowy ściegiem tunetańskim. Wzór gałązki do haftu na arkuszu z krojami i deseniami do N. 46 — 47 Fig. 96.

Niebieskie flanelkowe lub kaszmirowe tło kołderki, mające 55 cent. szerokości a 70 długości, haftuje się ściegiem długim i dzierganym, filozelą słomkowego koloru. Gałązkę kłosów podaną na Fig. 96, można z łatwością zmieniać w układzie i zmniejszać lub powiększać liczbę kłosów, które powinny być rozrzucone po całem tle, w sposób na ryc. 16 wskazany. Szlak robi się zwyczajnym, tunetańskim ściegiem, z włóczki berlińskiej, koloru słomkowego, a pasy w rogach zeszywają się z lewej strony prosto, jak na ryc. 16, albo skośnie zaczynając każden na jedno oko i przybierając aż do potrzebnej szerokości, a w drugim końcu gubiąc stopniowo do 1-go oka. Na skończonym szlaku wyszywa się filozelą lub włóczką niebieską, bukieciki habru, których wzór podajemy na ryc. 17; ząbki w koło obrabia się włóczką niebieską, podług próbki ryc. 15. Pod całą kołderkę daje się niebieską fularową podszewkę.



N. 18. Pokrycie na kamień do rozgrzewania nóg. Patrz ryc. 19.



N. 17. Gałązka wyszyta na szlaku do kołdry ryc. 16.



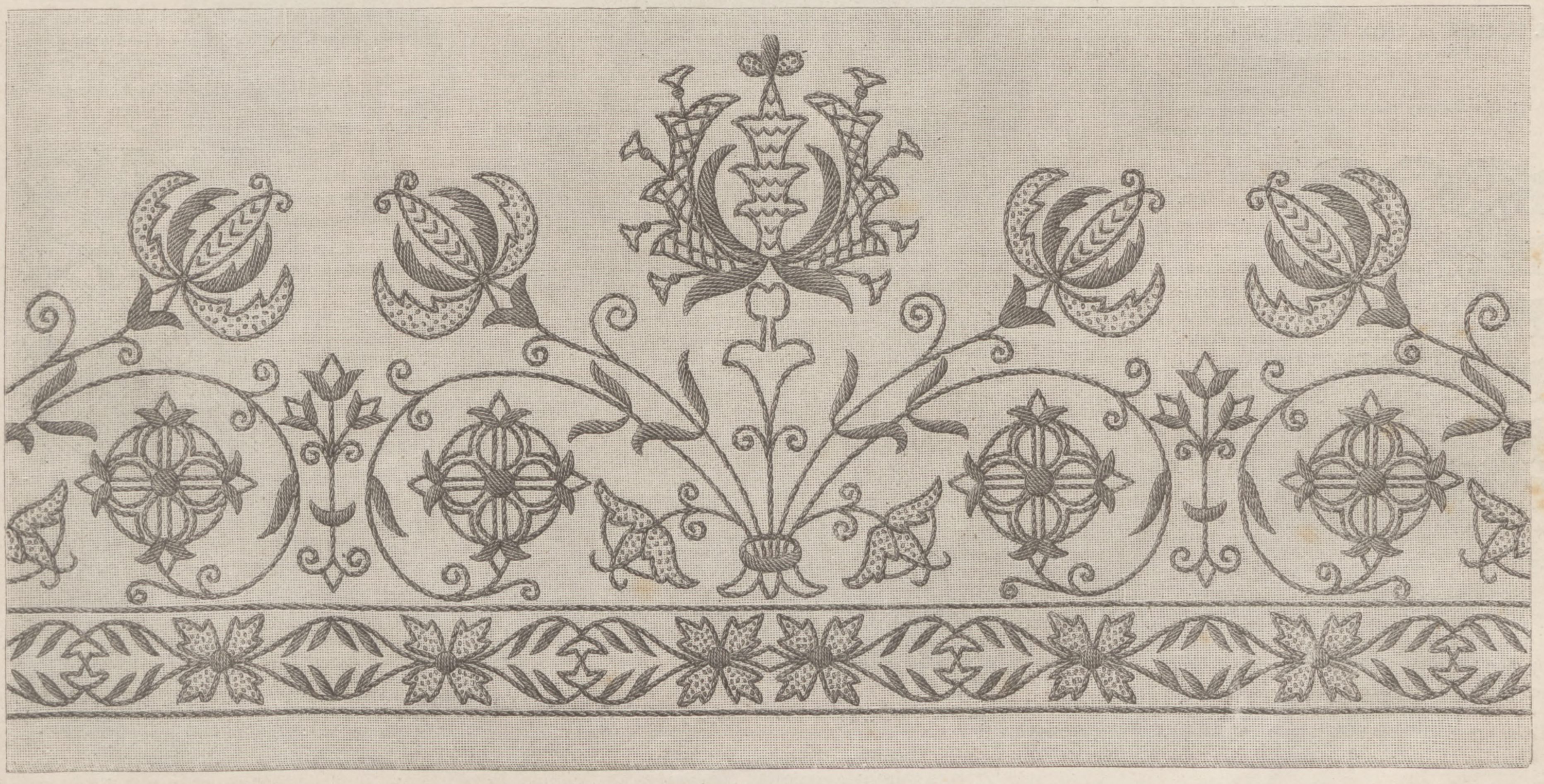
N. 19. Część boków pokrycia na kamień ryc. 18.

N. 18—19. Pokrycie na kamionkę z wodą gorącą, albo kamień rozgrzany. Robota szydełkowa.

Do wielkości kamienia lub butelki zastosowana musi być wielkość pokrycia, które robi się z bawełny grubej w dwóch kolorach. Robotę dna zaczyna się od śródka, na ocz. 3 w kółko złączone, w drugiem obrobieniu bierze się w każde 2 o. ści., zajmane w nitkę od spodu, w obrobieniu 3-cim przybiera się zawsze po sześć ocz. Dalej aż do końca przybiera się podług wielkości i okrągłej lub owalnej formy kamienia, a gdy dno jest skończone zaczyna się w dalszym ciągu karbowaną część zwierzchnią, biorąc ciągle w koło dna w jedne oko 3 o. a w następne oko 1-no. W dalszych czterech obrobieniach, zawsze w środkowe z ocz. przybranych daje się o. 3; w następnych aż do końca, ciągle przybiera się na czubku zębów a gubi po 2. o. na wklęśnięciu, jak to próbka N. 19 wskazuje. Wykończony pas obrabia się o. ści i łańcuszkowemi, dając jedno o. ści. w czubek zębów i dwa o. powietrzne. Środek zapełnia dwa rzędy słupków branych w każde o. poprzedzającego rzędu, i jeden rząd złożony na przemian z dwóch sł. i dwóch o. powietrznych, przez które przewłóczy się sznurki do przyciągania. Na modelu dno robione było z bawełny niewarowej a wierzch z niewarowej i ponsowej, mienianej co dwa paski.



N. 21. Suknia princesse dla panienki lat 13 — 15. Patrz ryc. 20



N. 22. Szlak do wyszycia na serwetach, bieliźnie i t. p.

N. 20—21. Suknia princesse dla panienki lat 13—15. Krój podług ryc. 33—34 w N. 36 Tygodnika.

Vêtement ma z przodu 118, z tyłu 130 cent. długości; zbywające przy plecach 12 cent., marszczy się przy szwie



N. 28. Suknia balowa z bluzkowym stanikiem.



N. 23. Ubranie z liści i traw na głowę.



N. 24. Ubranko z kwiatów i piór.



N. 25. Bukiecik do stanika.



N. 26. Girladka z kwiatów.



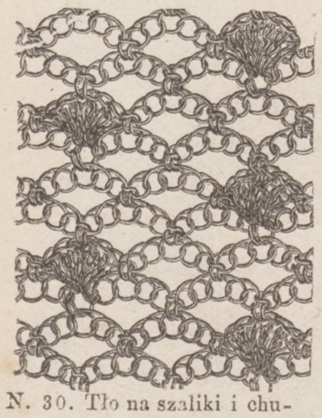
N. 27. Suknia balowa formą princesse.

w sposób na ryc. 21 wskazany, a poniżej przyszywa się szarfy, które związane na kokardy, podnoszą plecy w małą bufę.

Ryc. 20 przedstawia z przodu vêtement białe kaszmirowe, oszyte białem 8 cent. szerokiem plisowaniem, i przystrojone wodą z materyi niebieskiej, 5 cent. szeroką. Rękawy do łokcia i stanik wycięty kwadratowo podgarnirowane plisowaniem z crêpe-li. Spódnica może być niebieska lub biała. Na ryc. 31 widzimy suknię z tyłu zapinaną z ciemnego gładkiego i kropkowanego materyału wełnianego; spódnicę zdobi drobne, 5 cent. szerokie plisowanie i marszczone, 9 cent. szerokie falbany. Mankiety 10 cent. wysokie i 20 cent. szeroka szarfa są z kropkowanego materyału z plisowaniem gładkiem. Kieszonka urządzona z obydwóch materyałów zawieszona jest na luźno przerzucanym pasku 3 cent. szerokim.

N. 22. Szlak do haftu kolorowego na serwety, ręczniki i t. p.

Haft kolorowy na bieliźnie stołowej, ręcznikach itp. co raz więcej wchodzi w użycie. Ryc. 22 przedstawia szlak szeroki robiony ściegiem płaskim, sznureczkowym i stębnowanym, któren także na bieliźnie kościelnej odrobiony być może, bawełną w jednym lub dwóch kolorach.



N. 30. Tło na szaliki i chustki. Robota szydełkowa

N. 23. Dyadem z liści i traw.

Różne liście i trawy w świeżych zielonych i jesiennych kolorach, trochę złotym pyłkiem posypane, tworzy śliczny balowy dyadem.



N. 29. Strojny paletot aksamitny.

blado-niebieskich. Na ryc. 25 pomieszczony stosowny bukiecik do sukni.

N. 24—25. Ubranie z piór i kwiatów i oddzielny bukiecik.

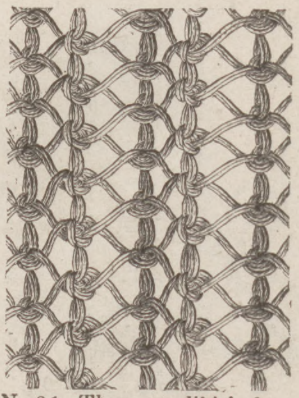
Ryc. 24 przedstawia śliczne ubranie głowy ułożone z geranii, róż, ciemnych liści, w środku rozeta i kilka z piór

N. 26. Ubranie z kwiatów.

Środek ułożony z kolorowych astrów i ciemnych liści, od których spuszczone długie na gutaperce uwinięte gałązki, mogą być z tyłu głowy złączone w wianek, lub upięte fantazyjnie pomiędzy warkoczami lub lokami.

N. 27. Suknia balowa, formą princesse.

Pod białą tarlatanową, tiulową lub krepową suknię daje się podwleczenie z materyi lub cienkiego bawełnianego atłasu spódnicę mimo to podszywa się pod garnirunek tiulem, 85—90 cent. wysoko. W miejsce podwleczenia można dać tylko pod stanik jedwabną lub bawełnianą podszewkę, do tiulowego podszycia dochodzącą. Garnirunek przodu aż do brytów trenu dochodzący, stanowią plisowane, 9 cent. szerokie falbanki, 4 cent. jedna na drugą zachodzące i 22 cent. szerokie upięcia, ułożone w 5 fałd poprzecznych, w górze zakończone plisowanym 5 cent. szerokim nagłówkiem. U dołu sukni dana suta, 9 cent. szeroka riusza, z pod której wysunięte 8 cent. szerokie plisowanie. Proste do tyłu ściągnięte bryty trenu zdobi garnirunek 45—50 cent. szeroki. Nagłówek przedniego garnirunku zachodzi w koło sukni, a pod nim przyszyte są dwa bryty 80 cent. szerokie, do garnirunku trenu dochodzące, przełożone na krzyż jak na ryc. 28 i przepięte kwiatami. Z przodu skośnie od ramienia przechodzi długa gałązka kwiatów i liści.



N. 31. Tło na szaliki i chustki. Robota na drutach.

(Dokończenie nastąpi).